Nr. 36. Poznań, Niedziela 2-go Września 1900 r. Rok IV.

PRACA

Tygodnik Illustrowany

Przedpłata w Poznaniu i na wszystkich pocztach w Niemczech wynosi kwartalnie **1 markę**; *na poczcie w Austro-Węgrzech* **59 cent.**
Pod opaską: w Niemczech **1,65 mr.**, *w Austro-Węgrzech* **1 złr.**, *za Oceanem* **1 dolar.**

Redakcya i Administracya „Pracy" znajduje się w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej Nr. 38. Telefon Nr. 295.

Manuskryptów nie zwraca się.

Precz z petycyami!

W pewnych sferach zrodził się po wydaniu rozporządzeń Studta projekt wysłania petycyi „do podnóżka tronu" cesarza niemieckiego i niemieckiej cesarzowej, Augusty Wiktoryi.

Zwłaszcza ta ostatnia myśl, — wysłania petycyi matek polskich do cesarzowej — wydawała się projektodawcom niezmiernie dobrą. Bo i pomyślcie sami: Co za rozrzewniający widok! — Tysiące matek polskich, stając w obronie pokrzywdzonych swych dziatek, zwracają się z rzewnym płaczem do cesarzowej, która jest też matką i umiałaby ocenić, gdyby tak jej gromadkę dzieci zaczęto uczyć po hiszpańsku się modlić, rozmawiać z rodzicami a nawet może i myśleć...

Ona, jako matka, zrozumiałaby ból, jaki przeszywa serca matek polskich a, rozumiejąc go, starałaby się pokrzywdzonym przyjść z pomocą. — — Ona dobra, ona szlachetna, ona współczucia iskrę odnajdzie w swem dostojnem sercu. — Tak mniej więcej brzmiały te zachęcające opisy projektodawców i zdawało się, że już się widzi jak deputacya, złożona z najlepszych, najgodniejszych matek polskich doręcza cesarzowej papier, okryty tysiącami podpisów, oblany serdecznemi łzami. — —

„Chyląc kornie głowy u stóp waszej cesarskiej i królewskiej mości — tak czytalibyśmy w owym dokumencie — matki Polki zanoszą do Ciebie, Pani, błagalną prośbę! Racz z wysokości Swego tronu spojrzeć łaskawem okiem na nas, które najbiedniejsze jesteśmy, które błagamy łaski, czekamy w prochu i kurzu u nóg Twoich na jedno łaskawe słowo, jak niewolnice, których los od jednego skinienia Twej ręki zależy."

I w duchu widzimy orszak niewiast naszych na audyencyi w królewskim zamku, w kornej postawie, żebrzących miłosierdzia i chylących głowy... A na boku stałby może Studt i podkręcając zawiesistego wąsa, szeptał: *Niżej, niżej, jeszcze niżej!*

O, zaprawdę, czyż niedość nizko już upadliśmy, czyż zamało jeszcze upokorzeń znieśliśmy, czy przy każdej zmianie tronu zamało oświadczeń przywiązania i wierności oddaliśmy, czyż zamało petycyi wiernopoddańczych złożyliśmy u stóp tronu, aby dziś jeszcze kobiety, — matki Polki miały się uczyć co to znaczy stać z niewolniczo pochyloną głową, kazać ustom wymawiać oświadczenia wierności, błagać łaski, a gdzieś w głębi duszy czuć cały wstyd, całe upokorzenie swoje, czuć głuchą nienawiść do losu, który każe wyzuwać się z resztek godności.

Tak. Weźmie nam może kto za złe, że krok ten, który chciano narzucić polskim niewiastom, przyjmujemy jak policzek wymierzony naszej godności. Kto nam to za złe bierze, widocznie inne ma poczucie godności narodowej, niż my mamy. Bo my pamiętamy, że niegdyś, w chwilach nieszczęść narodowych, nie do cesarzowej niemieckiej, ani królowej pruskiej szły niewiasty polskie z kornem czołem, prosząc o pomoc, błagając o ratunek. One szły *do stóp Królowej Polskiej, Patronki Korony polskiej, do Królowej Niebios* i przed nią się korzyły, przed jej obliczem dawały sobie słowo, że sile wroga przeciwstawią hart duszy i potęgę woli.

I dziś oto od Patronki Korony Polskiej udają się polskie niewiasty do cesarzowej niemieckiej? — To nie jest droga przyszłości dla was, niewiasty polskie!

Dotychczas kobiety Polki nie brały udziału w życiu narodowem w innym zakresie niż ten, który spowodował Bismarka do orzeczenia, iż zwycięztwo idei germańskiej tak długo nie będzie faktem dokonanym, dopóki kobiety nie zejdą z zajmowanego posterunku. A teraz? Teraz łudzą się i kobiety, że gdy papier jaki, okryty ich podpisami, odjedzie do Berlina, to one już Polskę uratowały!

I to jest właśnie najzgubniejsze w całej sytuacyi, iż szerzy się prze-

konanie, że petycyonowanie jest pracą. „Obowiązkiem naszym jest wypróbować wszystko, żadnej drogi polepszenia położenia nie ominąć“, tak mówią rzecznicy projektu petycyi.

Lecz my mamy głęboką wiarę, że zdrowy zmysł i wypróbowana miłość Ojczyzny naszych niewiast, w szeregu dróg i środków do polepszenia losu prowadzących dostrzeże te, które kobiet Polek są godne, ujmy ich honorowi nie przynoszą i nie na łasce pańskiej, ale na pracy i samopomocy ratunek opierają. Poświęcenie się nie jest rzeczą nieznaną dla kobiet naszych, więc i tu pójdą one drogą poświęceń: na zakazy rządu pruskiego odpowiedzą nie płaczliwym jękiem i lamentem, ale wypowiedzeniem walki.... One, w ręku których leży przyszłość dzieci, wpoją dzieciom, co jest prawem Polaka i obowiązkiem patryotyzmu i aż do podstaw tronu dobiegnie ich odpowiedź, która brzmieć będzie: *Wy chcecie zrobić z nas Niemców, — my, matki Polki, wychowamy Wam Polaków!*

Vester.

Ludy Europy

strzeżcie swoich dóbr najświętszych!

Cesarz Wilhelm II ma różne sposoby wyrażania myśli swej i przemawiania do swych poddanych. Nietylko używa w tym celu, jak inni zwyczajni śmiertelni, przyrodzonej nam wszystkim mowy, ale — jak wiemy — cesarz maluje, wiersze pisze, opery komponuje, jednem słowem używa wszelkich środków, by trafić do umysłów swoich poddanych i zyskać ich dla monarchicznych swych i wyłącznie prusko-królewskich zamiarów. Nie możemy tutaj i nie chcemy oceniać istotnej wartości tych cesarskich, artystyczno-literackich płodów; wiadoma rzecz, że w niemieckiej prasie fachowej spotykają się one zawsze z bardzo ostrą krytyką; lecz że nam naszą szczerość w krytyce za złe pewno by władza pruska poczytała, więc wolimy milczeć i niekrytykować, opowiemy zaś czytelnikom swym o jednym z obrazów cesarskich.

Nie tak to dawno temu wystawił cesarz Wilhelm II na widok publiczny własnego pędzla obraz, który przedstawiał mniejwięcej rzecz następującą: Gdzieś w oddali płonęły miasta i grody i ogniem strawione zapadały w gruzy, bliżej widza zaś stał anioł z ognistym mieczem w ręku a z twarzą teatralnie bohatyrską i zapatrzoną w one ognie szerzące zniszczenie, Treść tego obrazu była niestety niejasną, to też cesarski malarz uznał za stosowne znaczenie jego określić temi słowy: Völker Europa's, wahret eure heiligsten Güter. (Ludy Europy, strzeżcie swoich dóbr najświętszych!)

Ten anioł z mieczem w ręku wzywa ludy Europy do walki i obrony dóbr swych ginących w płomieniach.

Do tego to obrazu lubi cesarz myślą raz w raz wracać i treść jego poddanym swym przypominać; w ostatnich czasach, wyprawiając sołdatów swych do Chin, wspomniał cesarz również ten swój obraz i wzywał by w imię „obrony dóbr swych najświętszych nie dawać pardonu.“

„Najjaśniejszy pan“ wie pewno, że ci żółci Chinczycy mają także „swoje najświętsze dobra“ i że w obronie tych to dóbr swoich najświętszych podnieśli bunt przeciwko obcym przybyszom i oni, tubylcy od wiek wieków na swojej ziemi, zgotują pewno krwawe przyjęcie europejskim najezdcom.

Lecz „najjaśniejszy pan“ pewno też nie zapomina, że wśród granic dzisiejszej pruskiej monarchii żyje kilka milionów ludzi, którzy mają również „swoje najświętsze dobra“, dobra od dóbr pruskich wprawdzie nieco odmienne, ale nie mniej dla nich święte i drogie dobra przez wieki całe wyhodowane i po ojcach z wiek wieków odziedziczone na to, by je wnuków wnuki na wieki znowu dziedziczyły; cesarz nie zapomina przecież, że w granicach pruskiej monarchii żyjemy my Polacy, mający także swoje najświętsze dobra, *swój* język, *swoją* wiarę, *swoją* ziemię, swoją przeszłość i swoją spuściznę dziejową. Do obrony dóbr najświętszych wzywał Wilhelm II obrazem swym wszystkie ludy Europy, a tem bardziej wszystkich swoich poddanych, a więc i nas Polaków!

Lecz jakżeż pogodzić ten obraz i te słowa cesarskie z rozporządzeniami, jakie rząd jego przeciwko nam wydaje?

Jakżeż my mamy bronić dóbr swoich najświętszych, skoro królewsko-pruski rząd wymyślił milionowy fundusz, aby wyzyskiwać nasze słabości i podniecać nasze nikczemne chęci i wykupić nam naszę najświętszą ziemię, skoro królewsko-pruski rząd chce nam za pomocą szkoły odebrać nasz najświętszy język i nawet ostatnim reskryptem ministeryalnym zmierza do odebrania nam naszej świętej wiary?

Jakżeż tu pogodzić słowa i myśli cesarza z postępkami objawiającemi się w rozporządzeniach jego rządu?

Wiemy dobrze, że my Polacy, jako poddani pruscy, pozornie równouprawnieni, jesteśmy z pod prawa wyjęci, że przeciwko nam ukuwają, wedle chęci, prawa wyjątkowe; wiemy też dobrze, że słów swych, wzywających do obrony dóbr najświętszych, nie stosował cesarz do nas Polaków — a jednak zapewnić możemy cesarza i króla, że słowa jego, powtórzone przy wyprawianiu wojsk do Chin, nie zostały u nas bez oddźwięku, ale że padły na urodzajną glebę. Jesteśmy poddanymi państwa pruskiego i nie myślimy dzisiaj o wyzwoleniu się z pod niego zapomocą gwałtu; — ale właśnie jako poddani pruscy jesteśmy my Polacy ze wszech stron osaczeni niebezpieczeństwem w obronie dóbr naszych najświętszych. By nas zagrzać do walki w imię tej obrony nie potrzeba nam i było słów cesarza, bo im sroższy będzie jego rządu ucisk, tem silniejszy będzie

i nasz odpór. Jak tego ostatnie rozporządzenia rządu dowodzą, wszczyna się z nami walka na śmierć i na życie! I tę to walkę przyjąć nam trzeba, a przyjmujemy ją z dobrą myślą *w obronie swoich dóbr najświętszych.*

Wiemy, że ze strony rządu nie spotkają nas już żadne względy, tem bardziej stać musimy w tej walce o własnych siłach, a hasłem w niej może być tylko to jedno: „oko za oko, ząb za ząb“.

W następnych artykułach omówimy obszerniej środki tej walki; ostatecznym i koniecznym jej celem może być tylko to, byśmy jako pruscy poddani nie utracili w przyszłości swojej polskości, swojego odrębnego poczucia narodowego i wiary w Boga...

Poznańczyk.

W socyalisty?

Ostatnie dwa dziesiątki lat odbrzmiewały w Niemczech dwojakiego rodzaju hasłami — najprzód groźnemi zapowiedziami ruchu socyalno-demokratycznego, mającego na celu załatwienie kwestyi socyalnej w sposób choćby najwięcej drastyczny — a z drugiej strony odruchem biurokracyi pruskiej, nawołującej żywioły zachowawcze do walki „przeciw wrogom tronu i ołtarza.“ Od lat kilkunastu, w których socyalizm jak chmura pogromu zawisł nad ustrojem państwowym Prus, począwszy od praw wyjątkowych nań ukutych, a skończywszy na ostatnich programowych mowach mniej lub więcej znanych statystów, nie było roku, aby celem uśmierzenia tego tasiemca państwa pruskiego nie wywleczono nowych projektów, mających choćby na chwilę ucieszyć filistrów pruskich nadzieją, że takie pendzlowanie po wierzchu wewnętrznego robaka zniszczy.

Rząd olbrzymie czynił nakłady, aby bądź to przez założenie filantropijnych instytucyi biedzie, a ztąd niezadowoleniu słusznemu tłumów ujście w skargach i protestach powstrzymać — bo w samo sedno rzeczy nie trafił — bądź przez administracyjne i inne wysiłki zmniejszyć liczbę socyalistycznych posłów. Skoro zaś spostrzeżono, że w organiźmie państwowym jedna, choćby z najmniejszych jego sprężyn, inklinowała do socyalizmu, natychmiast ją wyrzucano, jako niezdolną do dalszej pracy organicznej, aby w ten sposób całość izolować i uchronić przed zgubnemi wpływami anarchii.

A widząc, że wspomniany zasadniczy wyłom w konstytucyi pruskiej, mający na celu zniszczenie socyalizmu za pomocą represalii i persekucyi, tego celu nie osięgnął, począł rząd czynić starania, by zarazki tej socyalnej choroby dalej przynajmniej się nie szerzyły.

Stąd straszenie dzieci w gimnazyum widmem socyalizmu, stąd strębywanie wszystkich podpór państwa (staatserhaltende Parteien) do skupiania się i do walki z wrogim żywiołem — a wszystko wśród drżączki i strachu, że w najgłówniejszej potędze Prus — we wojsku — nurtują rozsadniki rozkładu państwa...

Gdy nagle taktyka gabinetowa się zmienia! — rzuca się $3^1/_2$ miliona najwypróbowańszej, socyalizmowi wrogiej ludności w paszczę tyle obawianego molocha!

Jak wiadomo socyalizm aż do ostatnich dni napróżno kołatał do domów polskich, na których straży stało duchowieństwo i prasa narodowa, aby . . . . Polacy jako podpory państwa pruskiego zgodnie czcili władzę, płacili podatki i krew wylewali w podbojach pruskich.

A siła tej straży była tak wielka, że socyalizm już był zwątpił w zdobycz polskich dzielnic, skąd dosłownie składki żadne nie nadpływały ni przybywali proselici. A wtem, równocześnie prawie ze sprawozdaniem o braku postępów socyalizmu wśród Polaków, minister Studt ugodził w ostatki mienia duchowego biednego, od 100 lat gnębionego ludu polskiego.

„Tonący brzytwy się chwyta“ — powiedział sobie wtedy zarząd Towarzystw socyalistycznych i wystąpił jako obrońca praw ludności polskiej i... odniósł tryumf.

Nigdy jeszcze we Wielkopolsce socyaliści na swych zebraniach nie mieli tylu słuchaczy, co dnia 15-go z. m. w Poznaniu.

To też przedstawiwszy się tutaj wobec zebranej ludności w charakterze rzeczników pogwałconej sprawy, ująwszy ją sobie i podrażniwszy do ostateczności, urządzili na dniu 23go zm. w Berlinie wiec, na którym wystąpili z całkowitym programem kampanii przeciw min. Studtowi i jego ukazowi. Wszędzie w dzielnicach polskich pod zaborem pruskim będą teraz urządzać zebrania, oraz rozszerzać w ogromnych masach napisaną w ich duchu broszurkę pt. „Zamach ministra oświaty na język polski.“

Oto owoc zakazu p. Studta!

Czy pożyteczny i smaczny dla państwa pruskiego?!

Dziwićby się nie można, gdyby za przykładem wiecu poznańskiego z dnia 15go zm. inne socyalistyczne wiece podobnie licznym lub liczniejszym cieszyły się napływem naszej ludności; toć potężni socyaliści stają w naszej obronie, oni, przed którymi drży państwo pruskie.....

Do dzisiaj jeszcze całe nasze społeczeństwo brzydziło się ideą socyalistyczną, jako niechrześcijańską — i nawet każdy członek inteligencyi naszej — w przeciwieństwie do niemieckiej — uważał sobie nadanie nazwy „socyalisty“ za hańbę, którą czynnie — jak to w ostatnich dniach widzieliśmy — pomścić pragnął — ale czyż wobec krępowania duchowieństwa we wywieraniu religijnego wpływu na ludność staną nasze Bartki i Maćki w obronie pruskiego państwa jako żer armatni, choćby nawet drugi Steinmetz kazał na zagrzanie krwi zagrać im „Jeszcze Polska nie zginęła“, gdy będą socyalistami?

Quidam.

Skuteczna broń nasza.

Dzisiaj, kiedy wydzierają nam już najświętsze prawa, kiedy nawet wzbraniają wyrość na ludzi uczciwych — ludzi, którzy dogmatem wiary głęboko zakorzenianym w sercach, bronią się od naleciałości socyalizmu, anarchizmu itp. — zwróćmy się z wiarą i modlitwą do stóp Maryi na Jasnej Górze! Prośmy Jej, by jak ongi ocaliła kraj od nawału Szwedzkiego, tak dzisiaj natchnęła nas myślą, w jaki sposób przekonać przeciwników naszych, że wydrzeć narodowi religią, to znaczy wychować przestępców mniejszej lub większej wagi. Powiedzą może, że przecież nie zabraniają nauki religii — owszem tolerują ją w szkołach — lecz niestety! wykład przepisują w języku niemieckim. A jakie tego skutki ten najlepiej orzec może, kto to przechodził, a do nich i ja należę. Nauka taka nie wnika w serca i umysły dzieci — wstręt z jakim wymawiają pacierz w obcej mowie sprawia, że one uważają religią natenczas za bardzo niemiły przedmiot wykładowy — zapominają prędko czego się uczyły i po wyjściu ze szkoły nie pamiętają już nic z tego. O! szczęśliwi, których otacza tkliwe ramię matki chrześcijanki, która czuwa nad rozwojem religijnym dziecka od kolebki — lecz biada nieszczęsnym, którzy pozbawieni tych pociech — rzuceni w objęcia zepsutego świata stają się ludźmi bezwyznaniowymi — nie zaznają pociechy w smutku ni zadowolenia w pracy. Pacierza słowa obce im zupełnie, bo dziećmi, uczono ich go w obcym języku, a był on im wtenczas tak bardzo niemiłym, że zaprzestali go zupełnie! I rola się staje jak opoka twardą, bo nie użyznia jej dźwięk ojczystej mowy — w łonie żar nieugaszony niszczy całe jestestwo.

Cóż za cel takiego postępowania?

czyżby rzeczywiście synowie tak potężnego państwa obawiać się mieli tej małej w porównaniu do nich, garstki Polaków? Doprawdy dziwne myśli cisną się do głowy, a chlubić się możemy, że nie ujmują nam męztwa — nie mogą, choćby chcieli, uznać nas za naród umarły! A czyliż nie zakrawa na fanatyzm twierdzenie, że choć nam na pozór nic zarzucić nie można na zebraniach, to uścisk dłoni bratniej i spojrzenie mówią dobitnie o zamiarach naszych. Dojdzie więc chyba do tego, że utną nam dłonie i oczy wyłupią, a może jeszcze posłyszą serca poruszone bicie i uderzą na trwogę w dzwon hakatystyczny! O ludzie, na co wam ten szał?! Takiem zachowaniem dajecie świadectwo poczuciu, iż nie na własnej tak rządzicie ziemi, lecz ziemi oderwanej od wielkiej całości — ziemi, której rycerze we waszej stawali obronie —ziemi, co była przedmurzem przed najezdców tłumem — ziemi, na której wy i wielu innych ludzi, różnem porozumiewających się narzeczem, gościnne znajdowali przyjęcie i bez różnicy narodowej i religijnej, czerpali obficie z jej skarbów! Nie sprawiajcie sobie tyle niepokoju, bo broni tej, którą my mamy, nie wydrze nam żadna ludzka siła! — tej Królowej, którą my czcimy nie zrzucą z tronu wojska, choćby świata całego! Ta, która przodkom naszym, tak jawną, we wszystkich okolicznościach, była opieką i obroną, nie opuści nas. Nie w naszej, bo nas garstka tylko, lecz w Bożej mocy jest nadzieja nasza — my tylko wiarą, jednością, wytrwałością i wielką bratnią miłością, bronić się możemy i dać poznać światu, że my nie podli — zgubić się nie damy, dopóki choć jedno polskie serce bije, Nie wątpmy więc! wszakże pożar wieży Częstochowskiej to obraz chwili obecnej, to przypomnienie, że tam złożyć mamy troski nasze i nie ustawać, bo tak jak ogień nie zdołał zamienić w perzynę najdroższej i najświętszej pamiątki narodu, tak nieprzyjaciel nie zdoła zniszczyć w nas poczucia obowiązku, lecz owszem zagrzeje do tem gorętszej obrony praw. Więc z wiarą, odwagą i pieśnią „Pod Twoją obronę“ walczmy i nie spoczywajmy!

Marya O.

Żydzi w Galicyi.

Niedawno temu rozeszła się po świecie wieść, że żydzi, wypierani z Rumunii, szukają schronienia i osiadają gromadami w Galicyi.

Wiadomość ta wywołała w całym kraju wielki popłoch. Żydzi bowiem oprzędli już Galicyę całkiem w sieć swoją, ssąc siły żywotne z biednej ofiary chrześcijańskiej, która wpadnie w ich ręce.

Takie żale wywodzą powszechnie nad Wisłą, Pełtwą i Dunajcem, a „Jedność“, tygodnik społeczno-polityczny, organ Związku katolicko-narodowego robotników zamieszcza w tej sprawie następujący artykuł:

„Codziennie niemal donoszą dzienniki o faktach, które niepokojem owładnąć muszą każdego, kto pragnie spokojnego rozwoju stosunków społecznych w naszym kraju, kto życzy sobie, by walka rasowa nie poderwała ostatnich sił Galicyi. Dziś czytamy, że tłuszcza żydowska pobiła profesora gimnazyalnego w Jarosławiu, jutro, że czeladnicy żydowscy zmasakrowali studentów chrześcian w Rzeszowie, pojutrze, że żydzi nibyto ratując chłopów przed pożarem, okradli włościan z kretesem, tu i owdzie dostaje się wiadomość, że fanatyczni wyznawcy Mojżesza napadają w jasny dzień na neofitów, by ukarać ich za przyjęcie wiary chrześcijańskiej, a tylko interwencya ludności chroni neofitów od zemsty żydowskiej.

Te fakty, to nie sporadyczne objawy bójek ludzi nieokrzesanych, to dowody już coraz groźniejszego usposobienia wobec chrześcijan, to skutki szalonej rozpasanej buty żydowskiej. Utuczeni krwią i potem włościan, oraz robotników katolików, lichwiarskie pająki żydowskie zrywają maskę obłudy i wprost uderzają na wszystkie warstwy katolików, nie zatrzymując się przed murami... klasztorów katolickich, jak doświadczenie ze słynnym Aratenem uczy.

Czy w mieście, czy na wsi, żyd potulny, doszedłszy do majątku, nierzadko przy pomocy środków nielegalnych, staje się jawnym wrogiem ludności katolickiej. Powoli lichwą i wódką rozpoiwszy chłopa, staje się „dziedzicem“ i wali po „twarzy.“ Mieliśmy sposobność niedawno dowiedzieć się od włościan, w jednym z zachodnich powiatów naszego kraju, o podobnem traktowaniu chłopów przez żyda właściciela. Lud opowiadając o tem, wyciągał ręce, aż stawy trzeszczały i wołał „to nie może tak dalej być; zrobimy sobie kryminał, ale żydowi się nie damy. A po miasteczkach? Żydzi opanowawszy tu rady gminne, zadłużywszy miasto po uszy, rządzą chrześcijanami, toczą soki żywotne ludności, nakłaniają do każdego kroku, który im korzyść przyniesie.

W większych miastach i stolicy mają również przemożne wpływy, pewni siebie, paradują ulicami, wpychają się wszędzie, zajmują każde miejsce w sposób arogancki do najwyższego stopnia, nie mówią już po polsku, ale posługują się żydowsko niemieckim żargonem, powiększając liczbę mieszkańców niemieckich Galicyi.

Synkowie ich zapisują się już w gimnazyum jako Niemcy i powodują tem utrzymywanie osobnych gimnazyów niemieckich, które dobroduszny samorząd Galicyi dla nich urządza.

Nie miejsce i nie pora, by cyfrowo wykazywać, ilu rugują właścicieli ziemskich z ich gniazd ojczystych, ilu chłopów, objąwszy w swe sieci, licytują, ilu robotników banda żydowskich agitatorów socyalistycznych obdziera z wiary, patryotyzmu i grosza, ilu urzędników biednych, dawszy im raz „kubana“, trzymają w swych kleszczach. To fakt, że się tak dzieje. Każdy, który nie jest ślepym, przyzna, że buta ich wzrosła w ostatnich nieledwie latach szalenie. Tym, którzy rządzą krajem, zwracamy uwagę na ten stan rzeczy, bo stykając się z ludem, czujemy wrzenie nienawiści ku żydom, mogącej wybuchnąć płomieniem walki rasowej, staramy się o ile sił uspokoić wzburzone umysły, wytłumaczyć nieraz rzeczywistą krzywdę chłopa, jego nieumiejętnością obrony wobec władz, niedołęstwem i lenistwem.

Lecz to nie pomaga, bo trudno chłopu lub robotnikowi wytłumaczyć, że przegrał, n. p. sprawę w sądzie z żydem, z powodu swej nieporadności lub zaniedbania terminu ustawowego. Chłop i robotnik czuje krzywdę, nie widzi obrony dostatecznej swych interesów, ale za to widzi, że żyd nie rzadko u pana starosty siedzi na „kanapie“, gdy chłop godzinami czeka w przedpokoju lub zimnej sieni. Jak poradzić złemu, niech myślą ci, do których to należy. My tylko zwracamy uwagę na zło i przestrzegamy, że jeżeli tak dalej pójdzie, może dojść do smutnych następstw. Żydom zaś w interesie ich własnym radzimy, by poskromili swą butę i arogancyę, by tępili, a nie bronili oszustów i lichwiarzy, by nie demoralizowali młodzieży, nie popierali socyalizmu, bo „do czasu dzban wodę nosi.“

r.

Z TYGODNIA.

Tak zwana „nota“, którą *Li-Hung-Czang* wystosował do mocarstw, a w której zwraca uwagę na to, że ponieważ posłowie w Pekinie zostali oswobodzeni, przeto można z nimi rozpocząć układy pokojowe, doszła także, jak zapewnia berliński „Börsen-Courier“, do urzędowego miejsca w Berlinie. Nie było jednak do tego czasu powodu zwracać uwagi na propozycyę Li-Hung-Czanga, tembar-

dziej, że rząd Stanów Zjednoczonych bezzwłocznie ją odrzucił, dając tem samem do zrozumienia, że nota nie ma zasadniczej wartości. W rzeczy samej — piszą z Berlina — trzeba podzielać zapatrywanie waszyngtońskiego gabinetu, ponieważ w doniesieniu Li-Hung-Czanga nie podano, z czyjego polecenia i w imieniu jakiego rządu on ten krok przedsięwziął; propozycya zdaje się być zatem aktem zupełnie prywatnym, z którym się liczyć nikt nie ma ochoty.

Być może zresztą, że Li-Hung-Czang wobec grozy położenia ma jak najszczersze zamiary; atoli póki w Chinach, a w szczególności w Pekinie nie zapanuje zupełny pokój, nie może zapewne o układach pokojowych być mowy, bo czyż Li-Hung-Czang, który obecnie zajmuje stanowisko dość odosobnione, może dać jakąkolwiek gwarancyę za zachowanie się dworu cesarskiego i innych władców północnych Chin?! Zdaje się, że nie.

W prasie angielskiej, a po części także francuskiej wypowiedziano w ostatnich dniach wielokrotnie mniemanie, że feldmarszałek *Waldersee* przybywszy do Chin nie znajdzie tam już żadnego dla siebie zajęcia. Jedno z niemieckich pism — „Leipziger Neueste Nachrichten" — nazwało nawet Walderseego naczelnym wodzem *post festum*. Przeciwko takiemu twierdzeniu odzywa się protest z Berlina, zaznaczający, że przeprowadzanie głównych zadań dopiero się rozpocznie, a zadania te odnoszą się do uspokojenia Chin, uregulowania i ustalenia stosunków, jako też wykonania kary i odwetu, nie mniej również zapewnienia wystarczającej gwarancyi na przyszłość. Zadania te będą wymagały od mocarstw sprzymierzonych, jako też od naczelnego wodza wiele pracy, niezliczonych mozołów i narażania się bezsprzecznie na wielkie niebezpieczeństwa.

Z pola walki w Afryce nie można się doczekać wyjaśnienia wiadomości o klęsce, jaką tam mieli ponieść Anglicy. Wiadomość ta była wobec zorganizowanej akcyi Anglików przeciw Dewetowi prawdziwą niespodzianką, atoli nie jest ona pozbawiona prawdopodobieństwa, bo lord Roberts przysyłał wciąż telegramy, które zdawały się przysposabiać na to, że przyjdzie w końcu wiadomość o tej klęsce. Pewnem też co najmniej jest, iż w kilku miejscach stoczyli Boerowie z dobrym skutkiem z Anglikami potyczki.

Półurzędowa *Rumuńska Agencya Telegraficzna* rozszerza od kilku dni wiadomości, z których zdaje się wynikać, że Bułgarya przygotowywa się do wojny. Rząd nakazał rzekomo zmobilizować 3 dywizye (w Widdinie, Ruszczuku i Szmuli) i zawezwał wszystkich oficerów, którzy z jakichkolwiek powodów nie znajdują się w swoich garnizonach, do powrotu. Wielka liczba Bułgarów, którzy należą do zapasu armii, powraca z zagranicy do kraju. Według pism ateńskich, pogłoski o wojnie bułgarsko-rumuńskiej wychodzą z Bułgaryi. *Agencya telegraficzna bułgarska* jednak oświadcza stanowczo, że wszystkie wiadomości o przygotowaniach wojennych są nieuzasadnione.

W rzeczywistości, trudno przypuszczać, aby zatarg, wywołany przez zamordowanie prof. Michaileana i agitacye komitetu macedońskiego, miały doprowadzić do wojny. Oba państwa interesowane wyszłyby na niej niedobrze, a najgorzej Bułgarya, która nie posiada na Bałkanach żadnych przyjaciół, a musiałaby przygotować się na to, że do sprawy wmieszałaby się najwięcej interesowana w sprawie macedońskiej Turcya. To też rząd bułgarski zdecydował się już na pewne ustępstwa. Oświadcza wprawdzie, że nie uznaje słuszności zarzutów rumuńskich, ale wytoczy jednak śledztwo osobom, oskarzonym o udział w ostatniej zbrodni.

Ministeryum rumuńskie nie zadowoliło się tą odpowiedzią i wysłało do Sofii nową notę dyplomatyczną, w której donosi, że przyjmuje do wiadomości zapowiedź wytoczenia śledztwa, ale ubolewa, że rząd bułgarski nie zdecydował się na krok ten odrazu i nie zapobiegł przez to wypadkom niepożądanym. Dalej rząd rumuński wyraża nadzieję, że śledztwo w sprawie morderstwa i innych nadużyć będzie przeprowadzone w sposób bardzo stanowczy i bezwzględny. Jest to tem więcej potrzebne. że świadkowie pozostają pod świeżem wrażeniem nadużyć komitetu macedońskiego i będą obawiali się wyznania prawdy, jeżeli nie uzyskają pewności, iż mogą liczyć na opiekę rządu. Na zapewnienie rządu bułgarskiego, iż starał się zawsze o utrzymywanie najlepszych stosunków z Rumunią, gabinet rumuński odpowiada, że niestety, nie może podzielać tych zapatrywań i osądza zupełnie inaczej postępowanie Bułgaryi. Rumunia zarzuca więc rządowi bułgarskiemu w urzędowej nocie dyplomatycznej złą wolę. Jest to krok niezwykły, któryby w innych stosunkach mógł wywołać wojnę, a w każdym razie nie zachęci Bułgaryi do ustępstw. Rząd rumuński chce jednak widocznie upokorzyć przeciwników i nie przebiera w środkach, licząc na pomoc Turcyi i trójprzymierza. *K. O.*

PRZEGLĄD PRASY.

Półurzędowa nota w **Kölnische Zeitung**, zapomocą której rząd pruski w sposób nie dający się bliżej zakwalifikować wystąpił przeciw Arcybiskupowi, ks. dr. Stablewskiemu, przyjęta została dzikiemi wybuchami radości u szowinistycznych i gadzinowych gazet, uważających za swój najświętszy obowiązek wynosić pod niebiosy wszystko, co tchnie arogancyą pruską. **Deutsche Zeitung** posunęła swą czelność do następujących wynurzeń:

„Arcypasterz katolicki wiedzieć powinien, iż p. Studt jako minister oświecenia jest upoważnionym do wydawania takich reskryptów bez zapytywania władz kościelnych.

„A jeżeli p. Stablewski z uczciwością swą jest w zgodzie, natenczas musi uznać, że w danem położeniu, podług miary przykładu, jaki sam daje podwładnemu duchowieństwu w kierunku narodowym, — minister przy zarządzeniu swojem nie może się liczyć z względami na kler katolicki.

„Już od dawna postawa przyjazna Polakom, jaką całe katolickie duchowieństwo w dzielnicach wschodnich otwarcie objawiało, była przyczyną i źródłem wszelkich trudności ze strony polskiej.

„Pojęcie „Niemiec katolickiego wyznania„ dzięki zachowaniu się kapłanów urzędujących pod władzą p. Stablewskiego znikło w naszych prowincyach wschodnich. Co się zwie w „polskiem" i„ katolickiem" z jednej strony, a „niemieckiem" i „ewangielickiem" z drugiej strony to są pojęcia równoznaczne. Skądże to pomięszanie narodowych i wyznaniowych wyobrażeń? Zkądże ta zupełna harmonia, okazywana przez duchowieństwo, należące do arcybiskupstwa poznańskiego, w „narodowej" postawie? Czyż nie należy objawu tego wywnioskować z istnienia pewnego środowiska, którego przykład i wskazówki kierowniczemi są dla księży.

„A środowisko to jest oczywiście w arcybiskupim pałacu w Poznaniu, którego dzierżca przed królem pruskim złożył przysięgę wierności, a którego urzędem jest popieranie interesów katolickiego kościoła tak samo, jak obowiązkiem pruskiego ministra, strzedz interesów państwa, o ile to należy do zakresu jego działania."

„Niesłychane zaś przekroczenie atrybucyi ze strony poznańskiego arcybiskupa zaostrzyło sytuacyą tak dalece, że w polityce naszej ku ochronie Niemców w dzielnicach wschodnich znajdujemy się w przededniu stanowczego przesilenia. Jeżli w tym wypadku pruskie ministerstwo stanu nie wytrwa twardo przy swojem, jeźli teraz znowu, jak już często bywało, nawróci, zapośredniczy i ustąpi, natenczas oznaczać to będzie nie mniej jak bankructwo pruskiej polityki rządowej a zwycięztwo wielkopolskiej idei nad państwową ideą pruską i niemiecko-narodową".

Niema potrzeby dłużej się zastanawiać nad powyższym elaboratem jakiejś lokajskiej duszy, któraby była w stanie zaprojektować postawienie pomnika choćby Attyli, królowi Hunnów, w uznaniu jego kulturnych zasług, — gdyby tylko to było mile widziane „u góry." Ale artykuł ten jest znamienny o tyle, że nie możemy się obecnie żadnym oddawać iluzyom

co do germanizacyjnej roli, jaką rząd pruski chciałby przeznaczyć kościołowi i duchowieństwu wśród naszego społeczeństwa. Z chwilą gdy plany te rząd chce w czyn zamienić nigdy nie zawcześnie jest na energiczną pobudkę, zwiastującą społeczeństwu niebezpieczeństwo, i nawołującą pod jeden wspólny sztandar wszystkich, aby wespół z duchowieństwem bronić najświętszych praw wiary i narodowości.

Wobec tej nowej hecy antypolskiej słodko — kwaśna **Germania** zaznacza warunkowo odmienne od rządowych życzeń zdanie w tej sprawie:

„Jeśliby powyższe przedstawienie rzeczy miało odpowiadać zapatrywaniom ministra wyznań, natenczas nie moglibyśmy dość energicznie zaprotestować przeciwko temu. Przy rozprawach w sejmie rząd zawsze podnosi jednomyślność z pruskim episkopatem; a faktowi temu, tak często stwierdzanemu przez rząd, przeczy się jak najdobitniej, jeśli minister w sprawie dotyczącej nauki religii, zaprowadza tak głęboko sięgające zmiany, jak to się stało w Poznaniu, bez żadnego względu na Władze kościelne. Pan minister musi chyba sam sobie powiedzieć, że Najprzewielebniejszemu X. Arcybiskupowi Stablewskiemu służy dosyć dróg i sposobów, by pokrzyżować zamysły rządu, jeśli Go do tego zmuszą takiemi oto ubolewanie wzbudzającemi rozporządzeniami. Cóżby n. p. przeszkadzało książętom Kościoła do nakazania kapłanom, aby polskiej nauki religii udzielali w kościele? Skoro rząd jednostronnie usunął objętą planem szkolnym polską naukę, to i Najprzewielebniejszy X. Arcypasterz mógłby również jednostronnie zaprowadzić ją w kościele. Nikt nie pragnie takich stosunków, ale trzeba będzie przyznać, że pomijanie wszelkich względów zwalnia także stronę przeciwną od wydawania przepisów, które z pewnością nie istniałyby przy zobopólnem lojalnem postępowaniu“.

Märkische Volkszeitung nazywa rzeczy po imieniu i konstatuje, że rząd dąży do germanizacyi przez kościół:

„W walce, prowadzonej przeciw Polakom w dziedzinie językowej, wydano i już zainaugurowano przeprowadzenie decyzyi, której — jakkolwiek już niejedno zdziałano w tym względzie — jednak nie należało się uważać za możliwą. Jak donoszą z Poznania, zniesiono tam, z końcem wakacyi latowych polską naukę religii we wszystkich szkołach średnich, obywatelskich i ludowych — z wyjątkiem najniższego oddziału — i rozporządzono udzielanie tej nauki w niemieckim języku. Wskutek tego wzbraniały się polskie dzieci w pojedyńczych szkołach odpowiadać na stawione im na lekcyi religii niemieckie pytania i oświadczyły, że nie chcą modlić się po niemiecku, ponieważ są Polakami. Najwięcej interesuje oczywiście rozporządzenie to, o ile się ono odnosi do szkoły ludowej, ponieważ dzieci muszą ją odwiedzać. Tutaj szczególnie oznacza rozporządzenie zamach na wolność sumienia. Kościół katolicki też zawsze surowo przestrzega tego, aby każdemu ludowi głoszono ewangelią w jego ojczystym języku i uczono wiary, jak tego wymaga już samo prawo przyrodzone, i tutaj z pewnością także, gdy Polakom chce się ograniczyć to prawo, występuje stanowczo w jego obronie. Jeżeli cośkolwiek nadaje się do tego, by uczynić Polakom niemczyznę nienawistną, to z pewnością usiłowania, by ich zgermanizować w dziedzinie religijnej. Trudno pojąć krótkowidztwo, które prowadzi do tak niebezpiecznych experymentów!“

Sprawa ta należy do otwartych i niejednokrotnie jeszcze zajmować się nią będziemy.

Czytelnicy nasi bezwątpienia pamiętają dobrze artykuł **Vestra** p. t. „Polska dla Polaków“, żywo komentowany przez naszą prasę. Jak wiadomo, ze strony jednego z poważnych poznańskich dzienników wielkiego formatu, spotkała artykuł ten ostra, dwukrotnie powtórzona krytyka, która zresztą, wprowadziwszy dużo życia do dyskusyi publicznej, przyczyniła się do utorowania drogi głoszonej przez nas zasadzie oszczędnego szafowania szczupłemi naszemi siłami narodowemi. Zasady tej radzimy się trzymać twardo, bez względu na wszelkie teoretyczno-idealne argumentacye, gdyż żaden argument nie przekona nas o pożyteczności ofiarności naszej wobec obcych narodów, gdy tymczasem gorzka i twarda rzeczywistość najlepszych nam dostarcza dowodów, że składając ofiary na obce nam cele, wysyłając ludzi zdolnych i pracowitych po za obręb rodzinnych stosunków — poprostu okradamy siebie.

Obecnie z prawdziwą satysfakcyą przytaczamy poniższy głos, zamieszczony w piśmie **„Straż św. Józefa“** a świadczący wymownie, że i w kołach szanownego duchowieństwa naszego obcującego blisko z ludem i znającego bezczelny wyzysk uprawiany przez obcych pod pokrywką pobożnych celów, artykuł nasz spotkał się z uznaniem. **Straż św. Józefa** pisze w naczelnym artykule:

„Udawano się do nas od dawien dawna z licznych stron Europy, z odległej Afryki i Ameryki nawet, abyśmy nasze ciężko zapracowane grosze przekazywali na cele, z których dla nas samych, w najtrudniejszem znajdujących się położeniu, żadna nie wynikała korzyść, ni ulga. Na najrozmaitsze zakony, ochronki, zakłady dobroczynne, kościoły w obojętnych nam krajach, — zbieraliśmy i posełaliśmy składki — i tak n. p. jeden jedyny zakon obcy, do naszego kraju nie mający przystępu, otrzymał od nas w zeszłym roku nie mniej jak 20 000 marek!

„A tymczasem u nas w naszych dyecezyach, codziennie setki dzieci na czczo idą do szkoły, tymczasem w braku ochronek setki matek dzieci swe zostawiają w domu na Opatrzności Boskiej, idąc na zarobek, tymczasem tylu starców naszych bez przytułku ostatnie lata swego życia w nędzy i niedoli spędzać musi, tymczasem od lat wielu niejedna parafia zbiera funduszе na Dom Boży, aby módz zadość uczynić swym obowiązkom chrześciańskim, tymczasem tylu chłopców, których Bóg wielkiemi zdolnościami obdarzył, nie mogą kształcić swego talentu dla braku środków pieniężnych, podczas gdy brak duchownych jeszcze ciągle dotkliwie uczuć się daje.

„Czyż tego Bóg wymaga od nas, abyśmy interesa cudze przed swemi kładli, i ze szkodą swą własną o obcych myśleli? — Nie — Bóg powiedział: będziesz miłował bliźniego twego jak siebie zamego — a w tych słowach wyraził, iż dobrze zrozumiana miłość własna tak jak miłość bliźniego jest obowiązkiem człowieka. Należymy wszyscy jako katolicy do jednej wielkiej rodziny i jako jej członkowie winniśmy się starać o łączność i wzajemne czynne wspieranie się, ale dobroczynność nasza winna być rozumna. Nie należy wstrzymywać młodzieńca ni dziewczyny, mających powołanie do pójścia na misye lub do klasztoru, choćby nawet ich działalność w dalekim, obcym odbywała się kraju, nie wolno nam powstrzymywać swej własnej lub drugich ofiarności na cele zbożne, które Władza Duchowna do uwzględnienia nam poleca — ale zdrożną i niesłuszną byłoby rzeczą, pozwalać obcym gospodarować w naszej dyecezyi — do tego tylko nasz najwyższy Zwierzchnik duchowny ma prawo, On jedynie prawnie wyznacza i z ambon zapowiadać każe, na jakie zagraniczne cele mają płynąć ofiary z kieszeni naszych. Niech więc nikt nie wysyła pieniędzy dla obcych, ani się zbieraniem składek dla nich nie zajmuje, niech nikt nie da się uludzić żadnemi listami, miesięcznikami jako zelatora na jego nazwisko lub dyplomami wystawionemi — lecz kto chce złożyć ofiarę na dobre cele, ten niech ją odda protektorowi „Straży“ w swym okręgu.

„Podnosimy jeszcze raz w tej samej sprawie głos, aby z jednej strony żebraniu obcych przeszkodzić, a z drugiej strony, aby wskazać, że nasza Władza Duchowna czuwa nad dobrem swoich owieczek i przed wszystkimi innymi niepowołanymi broni interesów swych dyecezyan.“

Polecając uwadze czytelników powyżej przytoczone wywody pisma kompetentnego w rzeczach duchownych, nadmieniamy, iż ta sama **Straż św. Józefa** już w jednym z dawniejszych numerów pisała:

„Jesteśmy w świecie znani z tego, że na cele święte, religijne, kościelne, skorzy jesteśmy do ofiar — to też z najdalszych krajów płyną do nas prośby o ofiary na kościoły, ochronki itp., a jako odpowiedź na to tysiące tysięcy z naszych archidyecezyi wychodzą rokrocznie w daleki świat. Pod pozorem budowy kościołów lub innych dobrych celów ileż to książek religijnych rozszerzano między nami za ceny niesłyszanie wysokie. Książki płacono w trójnasób ich wartości i wysełano w obce strony ciężko zapracowany grosz. A iluż kręci się po składkach na Bóg wie jakie cele, bez kontroli władzy duchownej. A czy my sami nie mamy trosk i własnych potrzeb duchownych? — czy nasze kościoły są w takim stanie, że nie potrzebują się oglądać za ofiarnością naszą? O pewnie każdy w swej okolicy mógłby wskazać parafią, która się zmieścić nie może w swym kościołku, a budować nowego nie ma za co, każdy mógłby wymienić choć jednę chylącą się ku upadkowi świątynię pańską, każdy wie, że niektóre parafie coraz więcej się zmniejszają i niedługo nie będą mogły znieść ciężaru utrzymania swego kościoła. A ten kościół potrzebujący odnowienia i ozdoby, godnej przybytku Boga, to ten sam,

w którym Chrzest św. tylu z nas i pierwszą Komunią św. otrzymało, w którym związek małżeński zawarło wielu, to ten sam kościół, w którym dziady i pradziady nasze przed wiekami Boga chwalili, ten sam, obok którego i nasze kości kiedyś spoczną. Czy może nam być odeń milszy kościół gdzieś w świecie istniejący, wśród obcych ludzi, których życzliwość nie nas dotyczy, lecz tylko naszych pieniędzy!

„Albo nie bliższe nam nasze biedne, chore opuszczone dzieci, nasi zgrzybiali starcy, nasze kaleki, niż murzyni, lub „hotentoci,“ między których idą krzewić wiarę nasi misyonarze?“

Wymowny ten głos wydawał się dość znamiennym temu organowi, który z nami polemizował z powodu artykułu Vestra. To też z uznania godną lojalnością przytoczył oba powyższe artykuły „Straży,“ przechodząc obecnie zupełnie na ich stanowisko, które też jest i naszem. Z dawniejszych swych zarzutów podtrzymuje dziś **Kuryer Poznański** jedynie uwagę następującą:

„Jakto? czy nas oczy mylą? czy to prawda? kto podnosił w tej samej sprawie głos? czy to p. Vester pierwszy nie nawoływał, aby „nie ogałacać naszego społeczeństwa z grosza“? czyż artykuł umieszczony w „Straży“ nie jest następstwem opatrznościowej czujności i troski p. Vestera? Na to krótko tylko odpowiadamy: Nie. Na pół roku prawie przed bohaterską pobudką p. Vestera czytaliśmy bowiem w „Straży“ — na luty b. r. — artykuł podobny.

„I cóż pan Vester na to? Czyż jeszcze będzie się uważał za męża, którego Opatrzność nam zesłała, aby oczy otwierał naszemu społeczeństwu?

„Zostawiamy mu to do woli, nie wiemy tylko, czy podobnemi może już poszczycić się rezultatami swego echa, jak „Straż św. Józefa“ w krótkim czasie swego istnienia.“

Na to odpowiemy skromnie, że ani **Praca** ani jej współpracownik **Vester** żadnej opatrznościowej roli w społeczeństwie sobie nie przypisują. Cieszy nas, gdy widzimy, że zapatrywania, które na naszym sztandarze wypisaliśmy, znajdują drogę do serc i zyskują uznanie. Pierwszeństwo chętnie ustępujemy drugim. Co zaś specyalnie do **Vestra**, to chciałby on, aby uważano go nie za jednostkę, wskazującą nowe drogi społeczeństwu, lecz za człowieka, który w każdem swem słowie stara się być odbiciem serc tysięcy, stara się wypowiedzieć to, o czem tysiące myślą, co czują i do czego dążą, a wypowiedzieć w formie, którąby sprawę naprzód popchnęła. A na dowód, że i w danym razie, artykuł „Polska dla Polaków“ nie rościł pretensyi do odkrywania nieznanych dróg, zaznaczmy, że zanim **Vester** kwestyą omawianą się zajął, pisała w tej samej sprawie nietylko **Straż św. Józefa**, ale i **Pielgrzym** w szeregu artykułów z czerwca r. b., oraz **Gazeta Gdańska** i **Grudziądzka**, ostrzegając przed systemem wydrwigroszów. A gdyby te wszystkie głosy (w Pielgrzymie np. pisał pewien ksiądz proboszcz), pochodzące wprost od duszy ludu, zechciał czytać **Kuryer Pozn.**, tak jak Vester to czynił, byłby bezwątpienia już wtedy, zamiast dziś dopiero, przyszedł do przekonania, jak bardzo palącą i naglącą jest sprawa położenia tamy wyzyskowi obcych pod pozorami nabożności i uwielbiania tych, co zamiast na niwie ojczystej w pocie czoła pracować, idą potem tym użyźniać obce nam łany. *B. M.*

Polacy a Niemcy w 1848 roku.

W szeregu artykułów, które „Praca“ podawała pod tytułem „*Z pamiętnych chwil*“ przedstawiony został w ogólnym zarysie obraz powstania poznańskiego i zdrady Prusaków w 1848 roku.*) Naturalnie w owym zarysie nie mogło być i nie było miejsca dla opisu faktów drugorzędnej wagi.

Poniżej podajemy nader interesujący opis epizodów, jakie się rozegrały w małej parafii Wierzchucińskiej w owym pamiętnym roku 1848-ym. Opis ten zanotowany jest „Ku wiecznej rzeczy pamięci“ w księdze komunikantów, skąd też swego czasu przez nieżyjącą już dziś osobę wyjęty został i przez kilka rąk przeszedłszy, do nas się dostał. Podajemy go jako oddzielną całość ku pożytkowi dzisiajszego pokolenia, które oby umiało z niego i dla rzeczywistości wysnuć odpowiednie wnioski:

„*Dla wiecznej pamięci spisane dnia 19 Maja 1848.*

Powiat Wyrzyski, graniczący z tutajszą parafią jest cały uzbrojony, zaś nacyonalność polska jest bezbronną, uzbrajać się nie wolno. Lud polski w tutajszej parafii jest bez wszelkiej broni. Wszyscy spoglądają na uzbrojonych sąsiadów i nic dobrego sobie ztąd nie obiecują. Krótko po Wielkiejnocy, nie wiem dla jakiej przyczyny, najechali chłopi z Drzewianowa dwór Słupowski i nic złego nie zrobiwszy odeśli. To dało przyczynę do większego niedowierzania i mruczenia. Dnia 10-go maja znowu w nocy najechali chłopi uzbrojeni ze Skóraczewa na czele żandarma, także nie wiem dla jakiej przyczyny dwór we Wąwelnie (chcieli dzierzawcę pojmać). Gdy pojawili się na podwórzu, ktoś usłyszał to, doleciał do dzwonu i zaczął dzwonić na gwałt. Lud wszystek powstał w największym strachu i stanął pod bronią składającą się z wideł, rydlów i co każdy miał i napastnicy z niczem odjechali. Lotem błyskawicy rozeszła się ta wieść i w parafii tutajszej. Od godziny 4-ej do 6-ej lud stanął pod bronią. Jedni pospieszają czemprędzej na pomoc do Wąwelna, drudzy jeszcze kosy przysposobiają, a kobiety chodzą bezradne, wrzeszczą społem z dziećmi i płaczą. Powszechny wrzask i trzask panuje, aż włosy na głowie stawają, aleć nadchodzi pewna wiadomość, że owi napastnicy nic nie zrobiwszy odeśli. Wskutek tego więc wszystko się zaspokoja i każdy zdąża do swej pracy.

Tego samego dnia około godziny 5-ej po południu powstaje drugi raz wrzawa. Wrzeszczą co gardła mają: Niemcy już w Łukowcu wszystko wyrznęli. O Boże jakiż to hałas, jakiż to wrzask się robi! Biją w dzwon na gwałt. Kobiety z dziećmi uciekają, a mężczyzni z kosami, widłami, rydlami, pospieszają ku Łukowcu, potem do Mirucina a nareszcie do Wąwelna. Wszystkie wsie w parafii tutajszej jako też i w Mąkowarskiej, zgoła cała tutajsza okolica aż pod Tucholę jest na nogach. Zaraz od rana ta rzecz z niewypowiedzianą prędkością szerzyła się coraz dalej, bo konno, jak tylko koń mógł wybiedz, dawano znać od wsi do wsi. Tego drugiego powstania było przyczyną: dowiedziawszy się panowie urzędnicy, że lud tutajszy pierwszych napastników odstraszył, zesłali kalwakatę złożoną z wojska, z chłopów uzbrojonych i z żydów mroteckich do Słupowy, z Słupowy do Łukowca, z Łukowca do Mirucina a z Mirucina do Wąwelna. Ci urzędnicy byli z powiatu Wyrzyskiego. Ta kalwakata strzelała w Łukowcu, Mirucinie i w Wąwelnie, jednego człowieka zabiła, a kilku poraniła i broń, jaką kto miał odbierała. Dowiedziawszy się lud tutajszy o tem z tem przesadzeniem, ludzi katolików Polaków w pień wycinają, szedł im na pomoc oraz na odpór swej własnej śmierci. Szczęście, że ta kalwakata z Wąwelna odeszła, nim się jeszcze wiele ludzi zgromadziło, boby krew była niezawodnie płynęła.

W Łącku Wielkim był żyd na karczmie. Przy tym rozruchu wiele mu gorzałki bezpłatnie wypito. O rannem powstaniu wojennem dowiedziawszy się obywatele w Koronowie mieście, myśląc, że lud na takowe uderzy, pozrzucali mosty, powysyłali co mogli do boru i stanęli pod bronią, wyglądając rychło się kosynierzy tutajsi do nich zbliżą. Panowie niemieccy po folwarkach pouciekali ze strachu, każdy gdzie mógł. W następnych dniach zjechał komisarz obwodowy p. Stadyon z Koronowa i poodbierał ludziom kosy.

Gdy wspomniana kalwakata ciągnęła z Mirucina do Wąwelna, zapóźnił się towarzysz jeden uzbrojony w flintę i pałasz. Dobiegli go kosynierzy tutajsi, rozbroili i nieboraczek bez mała życia nie utracił. Już mu do gardła kosą zamierzali, nawrzeszczawszy na niego: szelmo, Niemcze! łeb ci zetniemy! puścili go bezbronnego i tak dodrapał się do swoich.

Wieczysty dzierzawca zaś w Popiele-

*) Wyczerpujące dzieło o wypadkach poznańskich wyszło w zeszłym tygodniu z pod prasy: jest to Dra Kazimierza Rakowskiego „Powstanie poznańskie w 1848 roku“. Nakładem Towarzystwa wydawniczego we Lwowie, Pelczyńska No 1. Cena 3 guldeny.

wie Teodald Herrmann ujrzawszy ludzi tu ztąd z kosami, widłami i rydlami ku Mirucinowi idących, gdy już poprzednio żonę z dziećmi w stronę Kamienia wywiózł, rzucił klucze od wszystkiego na ziemię i powiedział: „macie tu i jedzcie co chcecie“, a sam z małym pieskiem i czapką w ręku czając się w życie, uciekał ku Rylinowi i Wiskitnu. Ludzie uzbrojeni w kosy widząc go uciekającego wrzeszczeli za nim: „a wej go, a wej go!“ a on co mógł uciekał. Jego właśni ludzie składający się do połowy z Niemców, mając klucze od wszystkiego, gdy pan jegomość uciekł, rozgościli się bez zwłoki, nie idąc nawet z drugimi do Mirucina i Wąwelna, w jego domu gorzałkę smacznie pili i kiełbasy, chleb itd. z dobrym apetytem jedli; wzięli nawet kiełbas do domu swego, a że im ręce drzały, więc jeden z nich kawał kiełbasy przed domem swoim upuścił, który to kawał jeden z tutajszych ludzi wracających z Wąwelna znalazł. Jegomość wrócił dopiero dnia czwartego po ucieczce, a zastawszy spiżarnią trochę wypróżnioną, gniewał się, aleć jednak ludziom darował to, co zjedli. Wróciła także żona z dziećmi.

To porwanie się do kos, wideł itd. o którem wyżej wspomniałem, prędkością błyskawicy przeszło do Pomeranii i doszło aż do Kołobrzegu. Jak jeden protestancki kaznodzieja w pisemku „Sion“ nadmienił, to w Pomeranii protestanckie kuźnie dzień i noc kosy prostowały i wsie całe na hasło: „Oto tam i tam zrewoltowane Polaki Niemców wyrzynają, wychodziły ze swymi bakałarzami i kaznodziejami uzbrojone w kosy do owej wsi, gdzie się rzeź, jak mówiono, działa“, na pomoc.

Konno od wsi do wsi, tak jak u nas, dawali sobie znać, a co więcej nawet urzędnicy tego głupstwa się chwycili i swych podwładnych burzyli.

Gdy nasze Księstwo wojsko regularne, mianowicie zajadła landwera z Pomeraków i Ślązaków złożona, jakby powódź zalała, w wielu miejscach rabowano. Dostało się tego i niektórym księżom. Bili okrutnie i kosy odbierali. Zebrało się kilka mędeli Niemców z Zakornowic i z Koronowa, na których czele stał aptekarz z Koronowa, Orland się zowiący, i poszli do Lucimia, ztamtąd do Mąkowarska, gdzie kilkoro ludzi okrutnie zbili. Z Lucimia wzięli kilku gospodarzy, między nimi i właściciela folwarku pana Hoppego ze sobą do Koronowa i wsadzili ich na noc do browaru. Następnego dnia wypuszczono ich. Przyszli także żołnierze w miesiącu Czerwcu do Krąpiewa zapewne zawołani przez dziedzica tejże wsi v. Wittken zowiącego się i katolickich gospodarzy Filipa Góreckiego i Marcina Jagłę niemiłosiernie skatowali. Ci gospodarze byli zupełnie niewinni.“

Na tem się kończy dokument. Historya jeszcze nie zadecydowała kiedy i jak zostanie nam wymierzona sprawiedliwość.

X.

Widoki Azyi.

I.

Świat cały w chwili obecnej ma oczy zwrócone w kierunku dalekiego Wschodu. Powszechna jest świadomość, iż teraz właśnie, u progu XX stulecia, tam gdzieś na krańcach starej Azyi dokonywa się niesłychanej doniosłości moment zwrotny w dziejach wszechświatowych. Wszakże jest to raczej niespokojne i nieokreślone, jak zmora, uczucie instynktowne, aniżeli jasne pojęcie tych rzeczy odległych. Inaczej zresztą być nie może. Zbyt niespodzianie przyszły wypadki i zbyt niespodzianie w nagłej zmieniają się kolei, ażeby zaskoczona znienacka opinia publiczna Zachodu mogła odrazu zoryentować się w nich należycie, sens ich istotny wyrozumieć i przejrzeć ukryte w nich widoki przyszłości. Tem skwapliwiej atoli w tych zawikłanych, ciemnych a przecież arcyważnych materyach należy zasięgać światła od ludzi, głębiej wtajemniczonych i lepiej świadomych. Takim człowiekiem, takim *homme qui sait*, jest niewątpliwie ks. Uchtomski. Te kraje i te sprawy dalekiego Wschodu on zna z własnej naocznej obserwacyi. Zna je z tytułu swego stanowiska, jako kierownik poważnej instytucyi finansowej. Zna z tytułu swego zawodu, jako utalentowany i wpływowy publicysta. Zna wreszcie z tytułu swego politycznego wyznania wiary, jako wymowny głosiciel pewnych haseł, jako stały reprezentant pewnych dążeń kierowniczych, mających punkt wyjścia właśnie na terenie dalekiego Wschodu. Głos takiego specyalisty jest niezawodnie i ważny, i nauczający. Oświecić się u takiego rzeczoznawcy może być tylko z największą korzyścią. Na szczęście ks. Uchtomski w obecnej dobie gorączkowego zajęcia dla rzeczy i wypadków egzotycznych uznał za stosowne uprzystępnić szerszym kołom swoje rozmyślania i poglądy w tym interesującym przedmiocie. Przed paru dniami mianowicie otrzymaliśmy najświeższy zbiór jego celniejszych enuncyacyi w sprawach dalekiego Wschodu p. t.: „Z powodu wypadków chińskich. Rzecz o stosunku Zachodu i Rosyi względem Wschodu.“ (Petersburg, w lipcu 1900).

To też pośpieszamy z zajmującą zawartością tej niezwykłej publikacyi bliżej zapoznać Czytelników naszych.

Książka ks. Uchtomskiego obejmuje kilkanaście luźnych rozdziałów, wszędzie jednak połączonych między sobą jaknajściślejszym związkiem logicznym. Ogarniają one ogółem jedną ogromną całość: wykreślają przyszłe widoki całej niemal Azyi. W szczególności zaś grupują się dokoła dwóch naczelnych ognisk kultury azyatyckiej, z jednej strony Indostanu, z drugiej — Chin

Rozdział wstępny nosi znamienny tytuł: „O pokrewieństwie (*srodstwie*) Indyi a Rosyi.“ Sam już ten tytuł jasno uwydatnia oryginalną myśl przewodnią, którą też zaraz od pierwszych słów rozwija autor z wielką wymową i zapałem. „Przeszłość naszej Rosyi i przeszłość najbardziej typowej krainy Wschodu, Indyi, są podobne do siebie i spokrewnione z sobą aż do najdrobniejszych szczegółów i najzupełniej tak samo zawierają w sobie podobną rękojmię przyszłości.“ Zdaniem autora, „tam hen za Ałtajem i Pamirem znajduje się w gruncie rzeczy ta sama nieskończona Ruś przed-Piotrowa z całą swoją potęgą tradycyi i niewyczerpanym zasobem miłości.“ Autor zdaje sobie sprawę z całej nowości tego swojego poglądu. „Takie porównanie tuziemców indyjskich z ludem wielkorosyjskim zapewne przez wielu będzie uznane za tendencyjne, nieprawdopodobne albo zgoła fantastyczne.“ Jednakowoż, przy bliższem w rzecz wejrzeniu, ta niespodziana analogia potwierdza się pod każdym względem w świetle wyższej idei historyozoficznej o „zjednoczeniu z powrotem (*wozsojedinenii*) Rosyi z Azyą.“ W rzeczy samej nasamprzód ze stanowiska dziejowego okazuje się, że niemal równocześnie „dziki Turan stepowy, t. j. Mongołowie, uderzył na świat bramiński oraz na plemię wielkorosyjskie.“

Następnie znowu z „obu stron zaczęła się reakcya, w Indostanie i w carstwie moskiewskiem, i nagle tutaj wnętrze Rosyi, a tam za Himalajami ziemie Dekkanu prawie w jednej dobie budzą się do wyższej samowiedzy!“ Odtąd wprawdzie ujawnia się rozzbieżność losów obustronnych, wynikająca atoli nie z natury rzeczy, lecz sztucznie narzucona skutkiem najazdu Europy zachodniej na Azyę. Rosya raz otrząsnąwszy się od jarzma mongolskiego, podniosła się do najwyższego stopnia samodzielnej potęgi. „Natomiast Indye doświadczyły nowego upadku skutkiem pojawienia się i najazdu garści europejskich przybyszów-eksploatatorów“, t. j. naprzód Portugalczyków, a pod koniec, co najgorsza — Anglików.

Ks. Uchtomski przeprowadza malowniczą paralelę pomiędzy odkryciem Indyi przez Portugalczyków Vasca de Gamy a zdobyciem Syberyi przez Kozaków Jermaka. Zdaniem redaktora „Pet. wied.“, Camoens w „Luzjadzie“ był tyl-

ko zaślepionym panegirystą „zachodnich demonów-grabieżców.“ Rozsławiony przez niego Vasco de Gama nietyle był bohaterem, ile takim właśnie demonem, zwłaszcza, jeśli go zestawić z dzielną postacią Jermaka. A mianowicie, w porównaniu z zachodnio-europejską gospodarką w Indyach, „srogość, wyrzucana naszej wolnicy kozackiej na Syberyi, wyda się humanitarną i zazwyczaj zastosowaną do warunków miejscowych.“ „Jeżeli nawet tutaj wymierają rozliczne szczepy Samojedów, Ostjaków i koczowniczych Tunguzów, to odbywa się to nie z winy jakiejkolwiek presyi panującego żywiołu, lecz na mocy zmienionych warunków ekonomicznych.“

W ogólności cały systemat kolonizacji Syberyi, w porównaniu z cudzoziemskiemi rządami w Indyach, widocznie objawia „uderzającą ludzkość względem tuziemczych stosunków i praw życiowych.“ W tym samym czasie niemiłosierna inwazya angielska, oparta na zgoła odmiennych zasadach rządowych, najcięższe utrapienia ściągnęła na nieszczęsny świat indostański. „Gdy rosyjski tytan północny, całkiem dotąd zjednoczony z Indyami pod względem historycznym, rozwinął się w całej pełni i z każdym dniem dalej rozwija nagromadzoną w sobie dziejową energię — natomiast Indye drętwieją pod uciskiem swoich, pozbawionych podstawy, uniwersytetów, wolnej prasy, kongresów i innych podobnych, niezmiernie kosztownych dobrodziejstw.“ Te fikcyjne dobrodziejstwa nie są w stanie zasłonić przed przenikliwym wzrokiem rosyjskiego publicysty odgadywanych i opłakiwanych przez niego cierpień i męczarni, które, jego zdaniem, administracya angielska zwala na barki swoich ludów indyjskich.

To też autor nie wątpi, że wobec takich warunków Indusi żywią w głębi duszy nieubłaganą nienawiść dla wyniosłych Anglików, wysysających, jak pijawki, niewyczerpane bogactwa ujarzmionego Indostanu. A zarazem — taki ztąd wywód prowadzi ks. Uchtomski — te nieszczęsne ofiary brutalnego wyzysku angielskiego muszą w głębi duszy czynić porównanie pomiędzy zgoła odmiennemi zasadami rządzenia, stosowanemi w brytańskich a rosyjskich posiadłościach azyatyckich, pomiędzy drapieżnemi pazurami lamparta brytańskiego a opiekuńczemi skrzydłami rosyjskiego orła.

W rzeczy samej, według obrazowego wyrażenia ks. Uchtomskiego, „skrzydła orła rosyjskiego nazbyt szeroko przykryły horyzont Wschodu, aby mogła istnieć najmniejsza wątpliwość, iż na związku organicznym z temi odległemi krainami polega prawdziwa rękojmia przyszłości Rosyi.“ Sama Azya dobrze zdaje sobie z tego sprawę. „Zupełnie inaczej, niż na Anglików, zapatrują się na nas wszystkie narody Wschodu. Znają one potęgę Białego Carstwa,... wiedzą, że my zawsze wnosiliśmy i wnosimy do chaosu własnego i obcego życia zasady prostoduszności i szczerej dobroci, pragnienie świętej zasługi i pogląd na człowieka każdego plemienia i każdego wyznania, jako na istotę Bożą, blizką naszemu sercu.“ Wewnętrzny pociąg wzajemny, głębokie wewnętrzne powinowactwo co krok w małych i wielkich ujawnia się znakach. Jeszcze w połowie XVgo wieku Afanasij Nikitin, mieszczanin z Tweru, chodził w gościnę do dalekich Indyi, — a iluż jemu było podobnych, o których zaginęła wiadomość! I dzisiaj jeszcze węzły historyczne i etnograficzne jednoczą naród rosyjski z Irano-Turanem, od morza Kaspijskiego aż do Gangesu i Dekkanu. Ta wspólność charakteru wewnętrznego objawia się nawet w drobnych szczegółach.“ Tak np. wyraz „szuba“ odnajduje się w języku plemion Indyi północnych. Również okazuje się, że „i tam w Indyach, i w Rosyi u wielu mężczyzn jednakowo przyjął się przesądny zwyczaj noszenia kolczyka w jednem uchu.“ A dalej „któż u nas wie o tem, że za Himalajami raz do roku, latem, obchodzi się pewna uroczystość, podczas której chłopcy skaczą dokoła rozpalonych ognisk i śpiewają pieśni?“ Nareszcie, „czyliż nie jest dziwne, że gminy wiejskie u nas i za Himalajami odznaczają się jednakową organizacyą? Podobne przykłady możnaby mnożyć bez końca. A wobec tego któż u nas, z wyjątkiem chyba zatwardziałych stronników Zachodu (*zapadników*), będzie mógł wątpić choćby na chwilę, że tamten nieuświadomiony jeszcze przez nas Wschód stanowi, z samego swego ducha, taką samą organiczną przynależność dzierżaw Monomachowych, jaką już uczyniona została ziemia zawołżańska i Syberya?“

Takie też jest silne i serdeczne przekonanie ks. Uchtomskiego. „Dla nas, dla nietkniętego w swoich głębiach Wschodu rosyjskiego, a w równej mierze i dla Azyi, podstawę bytu stanowi wiara w Bóstwo, oraz ufność dla jedynej, ustanowionej od Boga, władzy. Ten prostoduszny światopogląd *miliarda* ludzi staje w zamkniętej, nieuniknionej sprzeczności z materyalistycznym światopoglądem Zachodu, w sprzeczności, jak gdyby wskazanej przez samą przyrodę.“ Tym to sposobem, „kiedy państwa zachodnio-europejskie są tylko przypadkowemi, chorobliwemi naroślami na olbrzymiem ciele lądu azyatyckiego“, natomiast węzły łączące Rosyą z Irano-Turanem, „a tem samem zarówno z pokrewnemi Indyami i Państwem Niebieskiem, są trwałe i przedwieczne.... Od Erzerumu aż do krańców usuryjskich nie istnieje żaden rozdźwięk wewnętrzny pomiędzy t. zw. zwycięzcą a zwyciężonym, będącym dla nas bratem z krwi, z tradycyi, z poglądów. My tylko mocniej jednoczymy się i spokrewniamy się z tem, co zawsze było nasze.“

Na tem zamyka się zawartość pierwszej połowy niniejszych spostrzeżeń ks. Uchtomskiego, który zresztą, w szeregu ciekawych uwag dodatkowych, sięga jeszcze z tej strony aż do Ceylonu oraz posiadłości holenderskich na Archipelagu malajskim. Pomijając te interesujące, lecz już raczej drugorzędne zboczenia, przejdziemy w następnym artykule do wyłożenia poglądów autora w drugiej, ciekawszej jeszcze, gdyż aktualniejszej połowie, dotyczącej palących spraw i zagadnień chińskich.

Szymon Askenazy.

Między młotem i kowadłem.

(Ciąg dalszy.)

Dlaczegoż więc ten żołnierz wbrew dowodom i wnioskom prokuratora sam żądał wymiaru wyższej kary? Czyż był niespełna rozumu? Nie, on dobrze wiedział dlaczego to robi. Z rozmysłem okłamywał cara i siebie. — Było to bowiem w czasie wojny tureckiej, a żołnierz nie miał jakoś ochoty iść na plac boju, wolał, aby go posłano do rot karnych. — Oto krótkie rozwiązanie tej zagadki.

Jak zaś kłamie światu, jużeśmy o tem wspominali. Aby się przekonać, dość sprawdzić te wszystkie fałsze tak hojnie rozsiane w zagranicznych artykułach gazeciarskich i broszurach przez najemników pisanych. Nie ma wyrazu na podobną bezczelność. Ale przedewszystkiem litować się trzeba nad czytelnikiem, który nieznając tych stosunków, pada ofiarą swej dobrej wiary i spekulacyi na nią obliczonej. W istocie jest to spekulacya. Rachują bowiem, że nikt nie przypuści, aby ktoś był zdolnym wszystko od *a* do *z* wymyślić lub przekręcić. A gdyby coś odrzucono jako zbyt nieprawdopodobne, to jednak coś się jeszcze zostanie, w co naiwni uwierzą, a o to właśnie chodzi.

Inne jest położenie piszącego prawdę. Ten przeciwnie, w oba-

wie posądzenia o przesadę lub kłamstwo, woli raczej łagodzić obraz tych przerażających stosunków.

Wierną pomocnicą rządu, a jednocześnie wyrazem charakteru narodowego, jest prasa krajowa. Kłamie ile się zmieści i ile potrzeba i nie potrzeba.

Przyciśnięci do muru, znajdą na wszystko usprawiedliwienie.

Raz podczas powstania w Polsce zapytałem jednego z dziennikarzy moskiewskich, dlaczego piszą podobne kłamstwa, że w każdej bitwie giną setki powstańców, a Moskali najwyżej 2.

— To nie fałsz, to prawda — odrzekł.

— Jakto — zawołałem oburzony, iż mi w oczy śmie coś podobnego powtarzać — a on mi ze znaczącym uśmiechem rzecze:

— To tylko bydła giną setki, ale ludzi istotnie bardzo mało.

Nie mogłem zaprzeczyć.

To mi przypomina dowcip Kladradacza berlińskiego:

Do św. Piotra zgłasza się tłum Moskali.

— Coście wy za jedni i czego tu chcecie?

— My wierni słudzy cara polegli za niego w bitwie z polskimi buntownikami. Prosimy więc łaski pana wpuścić nas do nieba.

— Nieprawda — odpowiada św. Piotr — za regularnie czytuję wasze gazety, więc dokładnie wiem, że w żadnej bitwie nie zginęło was więcej nad 2. Idzcie precz oszusty.

Gdybyż to gazety kłamały tylko w sprawozdaniach wojennych, alež one wciąż przeciw nam wypisują niestworzone rzeczy. Źle to pojęty patryotyzm, który nienawiść sieje i to fałszem. To carski patryotyzm. A skutki takiego działania prasy odczuwamy na każdym kroku.

Dawniej np. więźniów na Sybir pędzonych lud nazywał „nieszczastuye“ (nieszczęśliwi) a dziś ich błotem i przekleństwem obrzuca i buntownikami zowie.

Ale kłamstwo nie na gazetach się kończy; sięga ono głębiej, aż do nauki.

Dość powiedzieć, że caryca ukazem zabroniła Karamzinowi dochodzenia początków Rosyi, zalecając mu pisać tak jak tego polityka wymagała.

Każdy więc obowiązany wierzyć na słowo Rosyi słowiańskiej, ponieważ to potrzebne do spełnienia jej wielkiej politycznej misyi zaprowadzenia knuta, najpierw w Słowiańszczyźnie a potem może w całej Europie, co zresztą już Napoleon przewidywał.

Ale przedewszystkiem musi zgnieść Polskę, bo ta jej stoi na zawadzie i jest najmniej wygodną jako na ideałach ludzkich wyrosła. Trzeba więc wyrwać jej tego ducha i bezmyślną do swoich celów nagiąć. Daremna to praca, ale zobaczmy jak się dokonywa. Pójdźmy np. do szkoły w czasie wykładu historyi. Jest to arcyciekawa kuźnia fałszów. Dość powiedzieć, że nauczyciel tam bez rumieńca śmie dzieciom polskim w oczy mówić, iż Polacy, to dziki naród. Gdy bowiem zdobyli Moskwę, żywili się ludzkiem mięsem. Ale o tem się nie wspomina, że gdy carowie jeszcze strzemię hanom tatarskim musieli podawać, w Polsce już naówczas od paru wieków kwitły nauki i sztuki.

Widoczna tu zła wola i brak miłości prawdy. Sami zresztą wiedzą, że to bezczelne kłamstwa. Czyż więc warto, czy można odpowiadać na takie zarzuty, gdzie podstawą nauki jest ukaz i polityka; gdzie nawet profesor uniwersytetu jest przedewszystkiem urzędnikiem tylko, obowiązanym więcej uwagi zwracać na polityczne przekonania ucznia niż na jego postępy w naukach. Nigdy też żadnej katedry nie otrzyma tam mąż największej wiedzy, jeśli jest uczciwym a zwłaszcza samodzielnym, niezdolnym być narzędziem rządowem i działać wspólnie z popem i policyą. Pożądany tylko taki, którego więcej nęci order niż prawda i który zawsze się gotów nagiąć do wymagań rządu, w zamian za garść carskich łask.

Profesorowie uniwersytetu kijowskiego ciekawy zostawili dokument swej naukowej działalności w duchu politycznym wobec pomordowanych studentów w Sołowijówce 1863 r.

W Rosyi biją się nawet medale z powodu zmyślonych lub przekręconych czynów. Później będzie to dla niej stanowić dowód historyczny, bo przezorni, zawczasu już wnukom torują drogę do prawdy — ale prawdy carskiej.

A w imię tej prawdy wszystkie naukowe instytucye Rosyi przedewszystkiem służą celom fiskalnym; inaczej przecież nie miałyby żadnej racyi bytu, a nawet byłyby uważane wprost za szkodliwe.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Korespondencye specyalne „Pracy.“

Zakopane w sierpniu.

Koleją do samej perły tatrzańskiej! Dziwnie się to wydaje wszystkim, którzy dawniej przyzwyczaili się dojeżdżać nieznośnemi furkami góralskiemi, z małymi jednak wyjątkami zadowolenie jest ogólne, co zupełnie nie jest zrozumiałe wobec faktu, że z Krakowa do Zakopanego dojeżdża się bez przesiadania się w siedmiu godzinach. Jedenaście wagonów pociągu było najdokładniej wypełnionych, to też na dworcu w Zakopanem piszący te słowa czekał przeszło pół godziny na powózkę, któraby go zawiozła do hotelu. Rzecz prosta, iż u nas nic zupełnie dobrze nie może być zrobionem.

Sezon bieżący nie należy do najlepszych. Co do jakości restauratorowie, pensyonaty i Płonka (doskonała cukiernia, zaopatrzona prócz słodkich rzeczy i w śniadaniowe, z rozumiejącym interes gospodarzem) skarżą się, iż mało ludzi bogatych przyjechało, szczególnie z Warszawy, która rzeczywiście prawie jakby zastrejkowała, tak, iż Lwów stosunkowo więcej wysłał swych przedstawicieli. Nawet z Poznania jest w tym roku więcej, niż zwyczajnie osób, niemniej jak z Krakowa, zkąd dojazd jako najtańszy przysporzył Zakopanemu liczniejszych gości. Wskutek tego i ubożsi mogą korzystać z cudnego, odżywczego powietrza tatrzańskiego.

To wpływ kolei; innego jeszcze nie zauważyłem, bo ciemności wieczorami i w nocy, jak dawniej, panują niepodzielnie, a smętne naftowe latarenki z żałością spoglądają na swe o paręset kroków odległe sąsiadki. Ławek, jak zawsze, za mało. Górale drą jak za najlepszych czasów, dowodem, iż wzięto od nas przed kilku dniami za jazdę do Strążysk i z powrotem, miasto wedle cennika dwóch koron ośmdziesięciu halerzy, po targu i w butnem zachowaniu się 4 korony i t. p. Było furek cztery i z właścicielami ich ma zrobić porządek klimatyka, ale... energia jej tak jest dobrze z tradycyi znaną, iż nikt nie wątpi, że górale... drwić z nas będą.

Z nowości dodatnich zauważyć należy pewne usiłowania i starania komisarza wydelegowanego przez namiestnictwo w kierunku zabezpieczenia spokoju i mienia mieszkańców Zakopanego, dalej uprzyjemnianie „kuracyuszom“ pobytu za pomocą koncertów w parku, gdzie dwa razy dziennie zupełnie przyzwoicie grywa „Harmonia“ krakowska, powstanie wielu nowych pensyonatów, wskutek czego ceny utrzymania dziennego obniżyły się; obecnie za pięć do sześciu koron można wcale wygodnie mieszkać i żyć w Zakopanem. Wyróżniają się wśród nich pod każdym względem „Villa For-

tunka“ na Bystrem, „Villa Wanda“ na ulicy Zamoyskiego, zarządzana wzorowo przez pana Ch. wraz z nadobnemi córkami i „Villa Warta“ pani Reuttowej. Wielką przyjemność stanowi wprowadzona przez panią Ochorowiczową, właścicielkę willi „Jutrzenka“, instytucya wynajmu ekwipaży. Począwszy od lekkich jednokonnych wolantów, a skończywszy na wygodnych powozach, można tu wybierać wśród sporej liczby zaprzęgów, odznaczających się elegancyą, czystem utrzymaniem, dobrą służbą, a przedewszystkiem pięknymi końmi. Całość zwraca ogólną uwagę. Do uprzyjemnienia żywota przyczynia się tu też dobry teatr grający pod dyrekcyą p. Müllera w sali hotelu Sieczki.

Drogi wszystkim Sienkiewicz, który zazwyczaj każde lato spędzał w Zakopanem, wyjechał stąd do Pert St. Maure we Francyi.

Wielką przykrość wyrządziła wszystkim tutejsza rada gminna, która utartą, starą, na dawnej tradycyi opartą nazwę ulicy „Chramcówki“ przemieniła na „Jagiellońską.“ Czyż mało było nowo powstających ulic innych o nazwach obojętnych, np. „Przecznica?“ Nazwa ta się nie utrzyma, bo niesłusznie przechrzconej ulicy Jagiellońskiej nikt tak nazywać nie będzie, jeno zawsze Chramcówkami.

Pogoda cudna, powietrze czarowne, kojące nerwy, znakomicie oddziaływają na cały organizm tych, którzy po całorocznej pracy szukają tu wytchnienia.

W roku przyszłym o tej porze w Zakopanem zajaśnieje już wieczorami elektryczność. Przedwstępne czynności zostały już dokonane. W tej chwili oświetlenie elektryczne posiada tu na wyłączny własny użytek tylko zakład dra Chramca, cieszący się zawsze wielką liczbą leczących się. nie mniej jak na mniejszą skalę założona lecznica dra Hawranka, obok której na ulicy Chałubińskiego wybudowano śliczną willę „Niespodzianka.“

Sanatoryum dla chorób piersiowych w Zakopanem (towarzystwo akcyjne, mające ze względu na konieczną potrzebę takiej instytucyi wielką a doniosłą przyszłość) wyrasta już na końcu ulicy Kościeliskiej z fundamentów.

Krząta się około tej pracy energicznie, prócz znakomitego architekty Beringera z Krakowa, dyrektor przyszłego sanatoryum, dr. Kaźmierz Dłuski. *Z.*

* * *

Mor. Ostrawa, 23 sierpnia 1900.

Idąc za przykładem Czechów i Niemców, mających własne „domy narodowe“, i Polacy, zamieszkali w Mor. Ostrawie, wystawili sobie dom narodowy, nazwany krócej „Domem Polskim.“

Idea „domów narodowych“ powstała dopiero w latach ostatnich i tłomaczy się warunkami życia okolic kresowych, zamieszkanych przez różne narodowości, które chcąc zachować swoją odrębność, starają się w każdej ważniejszej miejscowości mieć własne siedziby i własne ogniska, mające skupiać i kształcić kulturalnie i narodowo współrodaków.

Historya „Domu Polskiego“ w Morawskiej Ostrawie, jest krótka. W czerwcu roku 1899go powstało Towarzystwo budowy „Domu polskiego“, jako stowarzyszenie zarobkowe (zarejestrowane z ograniczoną poręką), które za pomocą udziałów 10 reńskowych i pożyczki prywatnej w ciągu roku postawiło gmach okazały, przedstawiający dzisiaj wartość 130.000 złr. Mieści się w nim restauracya i kuchnia ludowa; jest sala na przedstawienia teatralne, koncerty, odczyty i zgromadzenia; jest sala szkolna dla analfabetów i młodzieży robotniczej; jest bezpłatna wypożyczalnia książek dla każdego, kto się tylko zgłosi; w „Domu Polskim“ mają już swoją siedzibę: Towarzystwo Szkoły ludowej i Czytelnia Polska (kasyno), wkrótce otworzona w nim będzie filia polskiego Banku Rólniczego z Frysztatu na Ślązku, następnie założone zostanie Towarzystwo gimnastyczne „Sokół“, Uniwersytet ludowy, Biuro pośrednictwa pracy, redakcya „Gazety Ostrawskiej“, która wkrótce wychodzić pocznie itd. „Dom Polski“ zatem będzie istotnie skupiał w sobie cały ruch narodowy i kulturalny żywiołu polskiego, zamieszkującego Mor. Ostrawę i jej okolice najbliższe.



Dom polski w Morawskiej Ostrawie.

„Dom Polski“ został w bieżącym miesiącu ukończony zupełnie i oddany do użytku, a w dniach 8go i 9go września rb. nastąpi uroczyste jego otwarcie według następującego programu:

Dnia 8go września (Sobota, święto M. Boskiej.)

1. Pochód uroczysty do kościoła, gdzie odprawione będzie nabożeństwo, poczem powrót pochodem do „Domu Polskiego.“
2. Wręczenie kluczów i poświęcenie gmachu.
3. Obiad wspólny w sali wielkiej (1 złr. 50 cnt. bez napojów).
4. Odczyt „Uniwersytetu ludowego.“
5. Przedstawienie teatralne; po teatrze zabawa z tańcami.

Dnia 9go września (Niedziela).

1. Zwiedzanie miasta i okolicy.
2. Kiermasz w połączeniu z loteryą fantową.
3. Odczyt „Uniwersytetu ludowego.“
4. Przedstawienie teatralne; po teatrze
5. Biesiada pożegnalna dla gości i zabawa z tańcami.

Ukończenie „Domu Polskiego“ jest dla ludności polskiej na pograniczu morawsko-śląskiem wypadkiem radosnym i niezmiernej wagi, nie chcemy powiedzieć — epokowym. Dotąd ludność polska była pozbawioną takiego ogniska narodowego, stawała się ofiarą Niemców i Czechów i ginęła bezpowrotnie dla własnego narodu. Obecnie położenie to zmieniać się zacznie na lepsze. Brak tylko jeszcze w M. Ostrawie szkoły polskiej, do założenia której czemprędzej przystąpić należy.

Kto zatem interesuje się walką na kresach zachodnich, dla kogo przyszłość naszego ludu nie jest obojętną, niech pośpieszy na uroczysty obchód otwarcia „Domu Polskiego“ w Mor. Ostrawie.

W. N. N.

NA JASNEJ GÓRZE.

15-GO SIERPNIA 1900 R.

Królowo Niebios, Matko Chrystusowa,
Coś podobała sobie w tej świątyni,
Przez którą świętą nam jest Częstochowa,
Gdzie Bóg przez Ciebie cuda swoje czyni,

Czemużeś, czemu pozwoliła na to,
By w Święto Twoje, kiedy rzesza mnoga
Biegła ku Tobie z serdeczną obiatą,
Ten Twój przybytek dotknęła pożoga?!

Wszakże Ty gasisz czyścowe płomienie
I straszne one ogniowe katusze,
Jakiemi nieraz zbudzone sumienie
Pali skalaną w ciężkich grzechach duszę;

Wszakże przed Szwedów straszliwą nawałą,
Przed ogniem, którym zionęły ich działa,
Tę swoją twierdzę, a z nią Polskę całą,
Tyś, Pani można, niegdyś ratowała.

Czemuż więc teraz maluczkiej iskierce
Dałaś dokonać tak strasznego dzieła?
Czyliżeś od nas odwróciła serce?
Czyś dla nas uszy i oczy zamknęła?

Czyś nie słyszała tych jęków, tych płaczy,
Co biły w Niebo od Twego ołtarza?
Czyś nie widziała, jak lud Twój w rozpaczy
Rwie włosy z głowy i w prochu się tarza?

Czyliżbyś miała karać nas za grzechy,
Ty, coś jest grzesznych ucieczką jedyną,
Źródłem cudownem, z którego pociechy
I przebaczenia i łaski nam płyną?

Nie, to nie była kara, lecz jedynie
Próba. Snadź chciałaś, Matko łaski Bożej,
Ujrzeć, czy w Domu Twego złej godzinie
Godny Ci owoc miłość nasza złoży?

Chciałaś mieć dowód, że wielbiący Ciebie
Lud hołd ci niesie nie samemi usty,
Nie wtedy tylko, gdy w ciężkiej potrzebie
Po cuda twoje biegnie na odpusty...

I masz! nietylko te tłumy pielgrzymie,
Co były świadkiem strasznej chwili owej,
Lecz kraj ten cały, gdzie się święci Imię
Pani, co Jasnej strzeże Częstochowy,

Zadrżał ze zgrozy, gdy na wszystkie strony
Echem gromowem rozległy się wieści
O klęsce, jaką Dom ten zagrożony,
Gdzie nasz najdroższy, święty skarb się mieści.

I w okamgnieniu wszyscy w myśli spieszą
Do gorejącej, jak pochodnia, wieży,
I każdy razem z Twych pątników rzeszą
Modli się, płacze, jęczy, w prochu leży,

W ogień się rzuca, radby krwią i łzami
Własnemi gasić rozszalałe płomię,
Bo serce trwogą zjęte, tak go mami,
Jakby naprawdę był tam przy Twym domie;

I choć na ciele czuje żar ogniska,
Choć z góry lecą nań płonące belki
I roztopiony śpiż na głowę pryska,
Broni Przybytku Bożej Rodzicielki...

Bogu bądź chwała! Dom Twój, ta skarbnica
Łask Twych i cudów, co pięć już stuleci
Odblaskiem niebios ziemi tej przyświeca,
Uratowany przez miłość Twych dzieci.

Lecz murów jego ozdoba wspaniała,
Wieża, co, widna z oddali staj wielu,
Zbożnych pątników oczy radowała,
Znacząc im drogę do świętego celu,

Szczyt niebotyczny straciła w pożodze,
I oto, sterczać, jak smutna ruina,
Oczy nam razi, serca rani srodze,
I obowiązek święty przypomina...

O! nie napróżno! Ledwo płomię zgasło,
Lud Twój, zapałem świętym ożywiony,
Jakby Duch Boży dał mu z Nieba hasło,
Śpieszy z ofiarą do Twojej skarbony.

A jak w dniu klęski na Twej Jasnej Górze,
Tak oto teraz po całej krainie,
W jednym, potężnym, dziwnie zgodnym chórze,
Hasło do ofiar na Twą chwałę płynie.

I wyjdziem z próby bez skazy i sromu,
Czynem zaświadczym o swej żywej wierze,
Nikt się z nas nie da prześcignąć nikomu,
Każdy powinność świętą spełni szczerze.

Miliony biednych złożą grosze wdowie,
Dary sowite przyniosą bogaci,
I nikt o ludzie Twym wiernym nie powie,
Że niewdzięcznością za Twe łaski płaci.

I tylko patrzeć, jak z gruzów swych wieża
Wystrzeli wyżej pod niebieskie stropy,
Na znak, gdzie nasza myśl i serce zmierza,
I na drogowskaz dla pielgrzymiej stopy.

I Aniołowie do księgi żywota
Zapiszą w Niebie wszystkich tych imiona,
Z których ofiary, czy miedzi, czy złota,
Dom Twój na nowo przyozdobi ona.

Adam Pług.

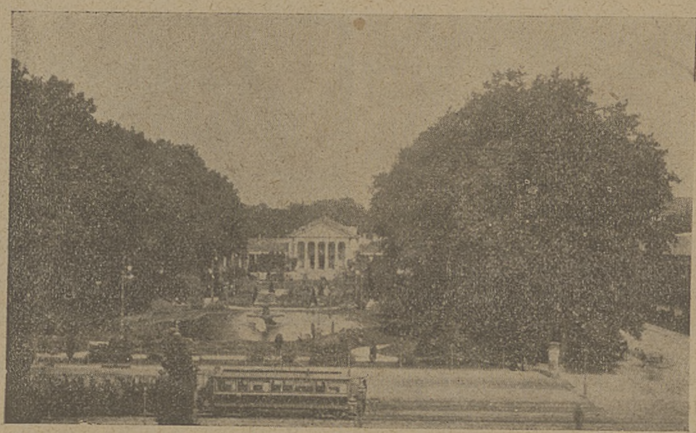
Kartki z drogi.

Wiesbaden, 26go sierpnia.

Przybyłem do Wiesbaden. Żałuję bardzo, że nie mogę wam dawać opisów stron ojczystych — lecz bawię tu nie dla przyjemności, tylko dla kuracyi Z drugiej strony przyznać muszę, że wdzięczen jestem szanownemu opiekunowi mego zdrowia, że mi wskazał Wiesbaden, a nie inne miejsce kuracyjne niemieckie. Wdzięczen zaś jestem z kilku względów najpierw, że Wiesbaden jest bardzo przyjemnem miejscem pobytu, że spotykam tu wielu rodaków, że słyszę tu na każdym kroku język ojczysty, tyle przybyło osób z Galicyi i z Królestwa, i wreszcie, że Nassauczycy nie mają jeszcze tej zaciętości prusko-niemieckiej przeciwko wszystkiemu, co polskie.

Co do języka polskiego słyszanego tu często na promenadach dodać muszę, że jest wielu nim mówiących, których praojcowie przybyli do nas z Palestyny, a przybywszy tak zasmakowali w tym naszym kraju, że uważając go za kraj obiecany żadnym sposobem wynieść z niego się nie chcą. Słowem jest tu wielu żydów z Królestwa. Zrzucili oni z siebie długie chałaty, przyswoili sobie język naszego kraju, ale rysów, odziedziczonych po praojcach, nie zagubili. Mówią oni językiem poprawnym — czasem tylko zatrącą z żydowska. Anglików i Jankesów w tym sezonie mniej. Przyczyniła się do tego najniezawodniej wojna anglo-transwaalska, Jankesów zaś przywabiła wystawa paryska. Sezon jest mniej ożywionym, niż po inne lata, ale ruchu i tak dużo. Punktem zbornym dla kuracyuszów jest oczywiście „Kurhaus.“ Zewnątrz jest on niepozornym i nie może się równać co do wspaniałości i stylu architektury z Operą tutajszą, która jest prawdziwem cackiem.

Lecz wnętrze „Kurhauzu“ pamięta jeszcze czasy, w których Wiesbaden był „niemieckiem Monaco“, więc sale są ozdobne i piękne.



„Kurhaus“ we Wiesbadenie.

Obecnie zachwycamy się koncertami kapeli Edwarda Straussa. Kapela koncertuje w Kurparku od 4—5 i od 8—$9\frac{1}{2}$. Niema to jednak jak muzyka wiedeńska. Taka w tych tonach lotność, taka miękkość a przytem precyzya, że kto sobie przypomni muzykę pruskich kapel i porówna ją z muzyką Straussa, powie, że pruskie kapele to prawdziwe rzempoły. Kurhaus położony nad pięknym stawem, z którego wznosi się w pewnych porach dnia srebrny słup fontanny. Słońce igra w spadających kroplach i tworzy prawdziwe kaskady pereł, rubinów, szmaragdów, szafirów. Niezrównanym jest widok tej fontanny, oświeconej sztucznemi ogniami. Za Kurparkiem rozciąga się przepyszny park angielski, przed Kurhauzem arcydzieło sztuki ogrodniczej, rondel kwiatowy.

Biją fontanny a w około nich palmy i laury, i kobierce wzorzyste kwiatów bujnych o przepysznych barwach. Siedzieć tu można godzinami i rozkoszować się powietrzem, przesiąkłem wonią kwiatów i wsłuchiwać się w szmer dźwięczących wodotrysków i marzyć pod cieniem palm. Przepych to prawdziwie egzotyczny. Ta bujna roślinność, te szmery bijących wodotrysków sprawiają wrażenie, że nie na pruskiej bawisz ziemi, lecz w jakim zaczarowanym ogrodzie Florencyi lub Neapolu. Lecz wstajesz i pęka złudzenie, bo oto na białej tablicy stoi wyraźnie: „Hunde dürfen nur an kurzer Leine geführt werden i t. d. — Tak, niestety jesteś w Prusach, w których od psa począwszy wszystko trzymane — na sznurku. Tymczasem tyle.

Peregrinus.

Wystawa paryska.

Paryż 20 sierpnia.

Dnia 18 sierpnia odbyła się ceremonia rozdania nagród. Urządzono ją z jaknajwiększym przepychem.

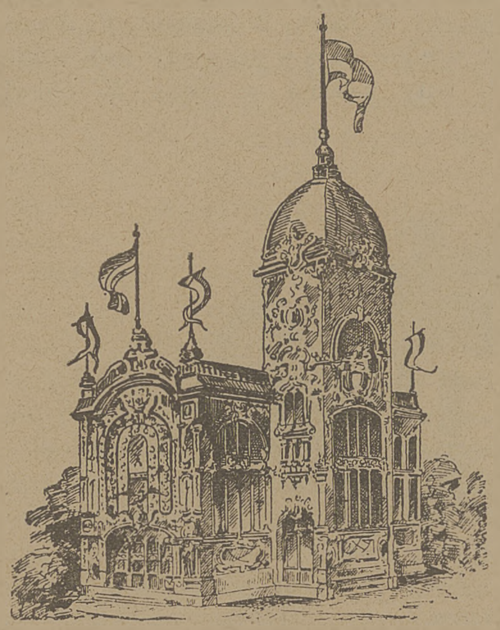
Wielka sala galowa na polu Marsowem, w której odbyła się już ceremonia otwarcia wystawy, sama przez się już imponująca, ozdobiona była jeszcze zielenią i kwiatami; od południa niemal szczelnie wypełniona 15,000 osób zaproszonych, oczekujących przybycia prezydenta rzeczypospolitej.

Pan Emil Loubet przyjechał o godzinie 3-ej po południu, mając z sobą swą świtę zwykłą i prezesa ministrów, p. Waldecka-Rousseau. Powozy przejechały przez całe pole Marsowe szpalerem wojska, z poza którego natłoczony w alejach tłum witał prezydenta okrzykami wiwatowemi. U stóp „Pałacu Wodnego“, który stanowi zakończenie pola Marsowego, oczekiwali minister handlu, komisarz jeneralny wystawy i mistrz ceremoniału, którzy zaraz poprowadzili prezydenta rzeczypospolitej i prezesa ministrów do położonej na pierwszem piętrze „sali złudzeń“, zamienionej na

salę przyjęć. „Palais des Illusions“ jest to sześciokąt z wielkich płyt zwierciadlanych, w których bez końca odbijają się czarodziejsko kolumny marmurowe i jaspisowe, wraz z całą grą świateł elektrycznych. W tej to sali oczekiwali na prezydenta wszyscy urzędnicy komisaryatu jeneralnego i wszyscy komisarze cudzoziemscy w jaknajbarwniejszych, jaknajświetniejszych mundurach. Prezydent króciutką chwilę spędził z nimi, poczem orszak udał się do sali galowej, do której wszedł od strony pola Marsowego po ogromnych schodach. Na schodach i przez całą długość sali, aż do trybuny prezydenta, znajdującej się na drugim końcu, od strony szkoły wojskowej, ustawiony był szpaler imponujących gwardzistów narodowych; naokoło trybuny straż honorowa składała się z oddziałów wszystkich bez wyjątku wojsk francuskich, zarówno metropolitalnych, jak kolonialnych; białe burnusy spahów, kapelusze z wstążkami laotyjczyków, malownicze stroje tyralierów algierskich, annamskich, senegalskich, ich groźne postaci — urozmaicały widok.

Gdy prezydent, ministrowie, prezesowie obu izb, ambasadorowie, zajęli miejsca na trybunie, naprzeciwko, na wielkich schodach, roztaczać się zaczął widok daleko bardziej malowniczy i imponujący: defilada wystawców podług narodowości i podług grup klasyfikacyi. Przedstawiciele obcych państw idą najpierw, i znowu tłum zebrany podziwia, jak w dniu otwarcia wystawy, narodowe stroje Węgrów, Hiszpanów, Turków, Arabów, Egipcyan, Malgaszów, Indusów, Japończyków — przedstawicieli wszystkich krajów kuli ziemskiej. Za cudzoziemcami zaś i mieszkańcami kolonii posuwają się przedstawiciele grup i oddziałów. Przed każdą grupą niosą chorągiew albo jakąś jedwabną czy aksamitną z numerem i haftami, albo — z symbolem grupy. Tak np. banderia myśliwstwa przedstawia ogromną głowę jelenią; rybactwo symbolizuje delfin, wychylający się z fal; dwie jodły z gęstem igliwiem reprezentują leśnictwo; sztandar kuśnierzy zrobiony jest z białego futra; przed grupą spożywczą niosą snop zboża, przed kolonizacyą — globus ziemski; statek żaglowy, balon — uzmysławiają odpowiednio oddziały. Obok trybuny prezydenta powiewa na wysokim maszcie olbrzymi sztandar trójkolorowy; wszystkie te chorągwie i banderye ustawiają się dwoma półkolami, a niektóre muszą pozostać na przeciwległych schodach. Widok przepyszny.

Umilkły dźwięki „Marsylianki“, a po niej — „Marsza tryumfalnego“ Saint-Saënsa, przy których odbywała się defilada; orkiestra i chóry wykonywają kantatę na cześć pokoju i pracy, dzieło



Pawilon Ekwatora (Równika).

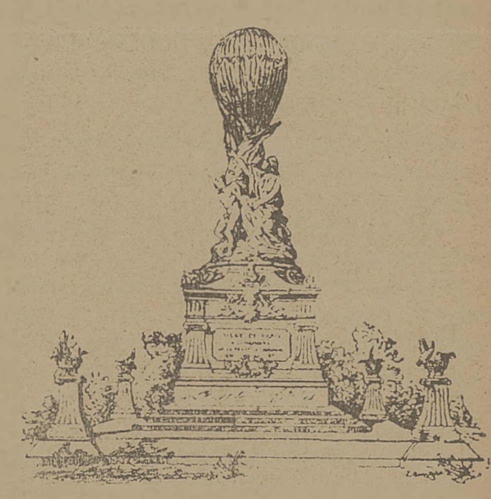
młodego kompozytora, Fernanda Le Borne'a, p. t. „Ars et Labor“; wstaje pan Loubet i zabiera wreszcie głos. Dziękuje najpierw wszystkim, Francuzom i cudzoziemcom, rządom i osobom prywatnym, które przyczyniły się do powodzenia olbrzymiego dzieła; wyraża żal, że wkrótce trzeba będzie zamknąć wystawę i rozproszyć znów tyle zgromadzonych skarbów, „lecz — powiada — dusza tego przemijającego organizmu przeżyje jego dekoracyę“. „Wzmocniły się tu stosunki pokojowe między rządami a ludami; goście nasi mogli się przekonać, że Francya, wierna swej historyi, pozostała krajem śmiałej inicyatywy, kierowanej zdrowym rozsądkiem, szlachetnego postępu, któremu towarzyszy roztropność i porządek, słowem, krajem pracy i spokoju. Stosunki między nami a naszymi gośćmi nacechowane były ufnością, opartą na lepszem poznaniu wartości każdego narodu, na przekonaniu o potrzebie kierowania się ideałem sprawiedliwości i solidarności.“ Prezydent oddaje szczególne pochwały licznym kongresom międzynarodowym, które dowiodły, jak jest rozpowszechniona wszędzie potrzeba solidarności. „Solidarność — kończy — której wystawa była świetnym wyrazem, w przyszłości podkopie przewagę siły, wzmocni panowanie prawa, sprowadzi polubowne załatwianie starć międzynarodowych, wzmocni pokój, za wsze chwalebniejszy od najchwalebniejszej wojny. Nie usunie wszystkich cierpień, ale zbliży nas do wzniosłego celu wszystkich wolnych duchów i szlachetnych serc: zmniejszenia nędzy, urzeczywistnienia braterstwa.“



Sala uroczystościowa na Polu Marsowem.

Gdy przebrzmiały oklaski, wstaje minister handlu i przemysłu, Aleksander Millerand. Stwierdza, że właściwie należałoby nagrodzić wszystkich bez wyjątku wystawców, że jednak to było niemożliwe, więc rozdano tak wielką liczbę nagród, jak nigdy, a mianowicie: 2,827 wielkich nagród, 8,166 medali złotych, 12,244 srebrnych, 11,619 bronzowych i 7,938 wzmianek zaszczytnych. 42,890 nagród na 75,000 wystawców! Zresztą — powiada minister — są tu zwycięzcy, ale niema wcale zwyciężonych — i hołd składa wszystkim po kolei oddziałom wystawy a przedewszystkiem — ekonomii społecznej i kongresom. Tych było lub będzie w tym roku ogółem 126; w r. 1889—69; w 1878-ym, kiedy urządzono je po raz pierwszy — 20. O ogromie wystawy niech dają pojęcie następujące cyfry porównawcze: 75,000 wystawców, gdy w r. 1889 — 62.000: 785,000 metrów kwadratowych — zamiast 419,000. Uznanie należy się organizatorom wystawy, poprzednikom ministra, komisarzowi jeneralnemu Picardowi; lecz „cześć przedewszystkiem tryumfatorce — wiedzy! Wszystkie galerye wystawy śpiewają jej zwycięstwo; najnowsze jej odkrycia zapowiadają nam nowe cuda!“

Grzmią oklaski; znów rozlega się druga część kantaty „Pro Patria“ Le Borne'a, a tymczasem podchodzą do trybuny prezydenta rzeczypospolitej prezesi komisyi nagradzających wszystkich grup po kolei i każdy z rąk komisarza jene-

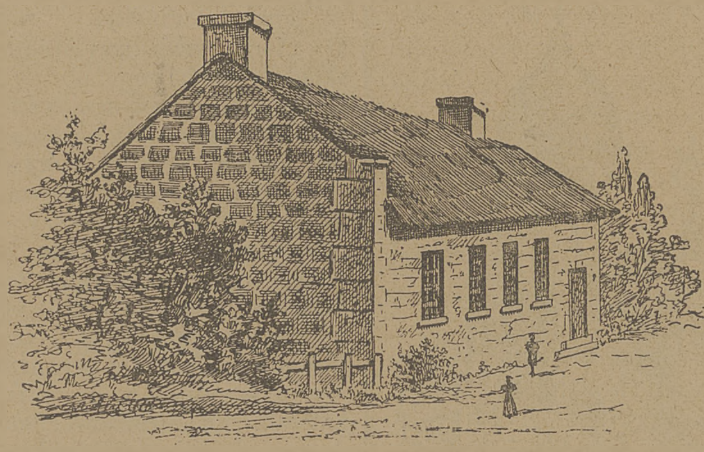


Żeglarze napowietrzni podczas oblężenia Paryża. Pomnik Bartholdi'ego.

ralnego otrzymuje pięknie oprawiony egzemplarz spisu nagród w jego grupie. Nagrody te jednocześnie ogłoszono w dzienniku urzędowym, oczywiście niepodobieństwem było rozdawać je faktycznie w sali galowej, wywołać 42,000 nazwisk.

Wieczorem wystawa była rzęsiście iluminowana; puszczono fontanny, ognie sztuczne; na Sekwanie czarodziejski widok tworzyły ozdobione girlandami i światłami statki. Prezydent Loubet przyjechał jeszcze popatrzeć na to z balkonu pałacu kongresów, a z nim — następca tronu beja tunetańskiego, Mohammed, książęta laotyjscy i kambodżyjscy, bawiący w Paryżu obecnie. Tłum był na wystawie tak liczny, jak nigdy. Ludzie wciskali się, gdzie tylko mogli — na

dachy, na cokóły figur — aby tylko lepiej widzieć ognie sztuczne i iluminacye. Niestety! ten natłok właśnie stał się przyczyną katastrofy, której ani prezydent z balkonu swego, ani nikt z publiczności, znajdującej się w innych miejscach, dostrzedz nie mógł. Na moście drewnianym, ponad ulicą między esplanadą Inwalidów a „ulicą Narodów“, tłoczył się tłum niezmierny, którego pierwsze szeregi opierały się o drewnianą również balustradę, patrząc na rzekę. Komuś zdało się, że most trzeszczy; krzyknął — zrobił się popłoch, panika,



Domek Boera.

ludzie rzucili się na ślepo w jedną stronę, balustrada pękła — i ludzie posypali się w dół, na ziemię, na belki i kamienie, z 3 do 4-ch metrów wysokości. Trzydzieści osób, przeważnie z drobnego mieszczaństwa paryskiego, odniosło ciężkie rany; z tych trzy tejże nocy wyzionęło ducha. Pomoc zorganizowano natychmiast; rozbawiony tłum w innych miejscach wystawy nic o katastrofie nie wiedział i bawił się do późna w noc...

Należy wspomnieć jeszcze o jednym wypadku, który zdarzył się w dniu tym świątecznym. Niejaki Jacquemart, garson restauracyjny, będąc w nietrzeźwym stanie, założył się z kilku kompanami, że pomimo wszelkich ostrożności policyjnych, pomimo kordonu kirasyerów, zbliży się do prezydenta rzeczypospolitej, jadącego w powozie na wystawę, i dotknie się go. Rzeczywiście, na placu d'Alma, gdy prezydent przejeżdżał, Jacquemart, człowiek 44-letni, nagle poskoczył, roztrącił policyantów i jezdnych, skoczył na stopień powozu prezydenta i rzucił mu coś na kolana. Pochwycono go; pojazd nie zatrzymał się ani na chwilę, tylko towarzysze p. Loubeta wyrzucili policyantom owo coś — jakąś kopertę; okazało się, że była w niej fotografia siostrzenicy Jacquemarta. Ten, przyprowadzony do cyrkułu, śmiał się do rozpuku, wołając: „Aha! na co wam się przydały wszystkie ostrożności!“ — „Ale — dodawał — to poczciwy człowiek; wcale nie chciałem zrobić mu nic złego.“ Komisarz policyi, mocno zagniewany, zatrzymał Jacquemarta w areszcie za „widoczne pijaństwo w publicznem miejscu.“

Specyalny.

Dział handlowo-przemysłowy.

Kilka szczegołów o zakładach Kruppa.

Zakłady Kruppa składają się z wielu poszczególnych części, położonych nietylko w głównem siedlisku Kruppów, w Essen, ale i w innych częściach Niemiec Z tych ważniejsze są: 1) fabryki stalowe w Essen, 2) zakłady w Annen, 3) wielkie piece w prowincyi nadreńskiej, 4) huty żelazne w Sayn, 5) fabryki w Buckau w okolicy Magdeburga 6) 4 kopalnie węgla i przeszło 500 kopalń żelaza w różnych okolicach państwa niemieckiego 7) wreszcie wiele kopalń żelaza w okolicy Bilbao w Hiszpanii.

Do tego dołączyć musimy wielki plac do strzelania przy Meppen, mający 17 kilometrów długości; rozmaite kamieniołomy, kopalnie gliny, piasku i t. p w różnych okolicach — wreszcie 3 okręty i t. d. Prócz tego firma Kruppa posiada zakłady budowania okrętów i maszyn w Tegel w pobliżu Berlina i Kilonii.

Fabryka stali w Essen dostarcza przedewszystkiem armat. Do roku 1898 firma Kruppa wyrobiła z górą 37000 dział. Prócz tego wyrabia pociski, materyały żelazne dla kolei i marynarki, blachy stalowe do pancerników, różne maszyny, walce, stal narzędziową i blachę stalową, żelazną i t. p.

W roku 1832 założona, fabryka w Essen zatrudniała tylko 10 ludzi! Dziś zatrudnia ona 44087, z tego 3120 osób personału urzędniczego. Z tego największa ilość bo 25617 osób pracuje w głównych zakładach w Essen, 3749 w Buckau, 2692 w warsztatach nadmorskich w Kilonii, 5852 w kopalniach węgla, w hutach zaś, na placu strzelniczym i t. p. zajęta jest reszta — około 5907 ludzi. Jeżeli do tego dodamy rodziny robotników i t. d. to otrzymamy poważną cyfrę 100 tysięcy osób, związanych pracą i środkami do życia, z zakładami Kruppa.

Główne zakłady w Essen, prócz części poświęconej obróbce i wyrobowi stali, posiadają rozmaite oddziały rzemiósł poszczególnych, związanych z zakresem działalności i produkcyi firmy Kruppa. Znajdujemy tam więc: 2 oddziały bessemerowskie z 15 gruszkami, 4 oddziały Martinowskie, 2 odlewnie ze stali, żelaza, mosiądzu, mnóstwo młotów, walcowni i t. p. Dalej, oddziały do wyrobu dział, lawet, pocisków, mniejsze lub większe strzelnice, fabryki broni i t. p. W związku z tem istnieją tam również olbrzymie stolarnie, blacharnie, tokarnie, krawcy, rymarze, zakład litograficzny i drukarnia, introligatornia, wiele cegielń.

W pośród zakładów gazowych w Niemczech, gazownia w Essen co do ilości wyrabianego gazu zajmuje 6-te miejsce. W r. 1897/98 dostarczyła ona 17 milionów metrów sześciennych gazu na 2527 płomienie uliczne, 39345 płomieni w warsztatach i 850 w mieszkaniach. Wodociągi miejscowe dostarczyły 13 miljonów metrów sześciennych wody.

Teren zakładów poprzecinany jest w wielu kierunkach mnóstwem linii kolejowych, telegraficznych i telefonicznych, które łączą ze sobą poszczególne oddziały kolosalnych zakładów.

W związku z fabryką znajdują się tam również stacye doświadczalne fizyczne i chemiczne, które w r. 1897 wykonały 24600 z górą rozbiorów i badań. Dalej znajdujemy tam straż ogniową ochotniczą z 90 osób, instytucye spożywcze z 47 sklepami, rzeźnie, zakłady szewskie, hotel, 7 piwiarń, 2 kawiarnie, szpitale itp.

Siły poruszającej poszczególne części tego olbrzyma dostarcza 458 motorów parowych o sile od 2 do 3500 koni. Wszystkich maszyn jest z górą 3000, z tych 1100 tokarń; 400 wiertarń (bor maszyn), 113 młotów parowych, 467 wind o sile 400 do 150000 kilogramów, 12 pieców wielkich dostarcza 2400 tonn surowca. Kopalnie węgla dostarczają przeciętnowo 3600 tonn dziennie.

Jakże wielkiej potrzeba było pracy, wspartej niespożytą energią i rozumem praktycznym, aby przez 68 zaledwie lat stworzyć takiego olbrzyma, z maleńkiej fabryczki, obsługiwanej przez 10 tylko ludzi!

Nie nasz to przemysł, nie swojska wytwórczość i nie nasze bogactwo... Zatrzymujemy przecież na tym wzorze niemieckim uwagę naszych czytelników dlatego, aby wskazać — że dla dojścia kiedyś do takiego przemysłu i dużej bogatej wytwórczości swojskiej — potrzeba koniecznie pracy tak wytrwałej i rozumnej. Pod tym względem śmiało możemy wzorować się na Kruppach — żadnego to nam wstydu nie przyniesie.

G. R.

Dział kobiecy.

Strój i dom.



O ile w zewnętrznej formie domów, w ozdobach fasady, mało jeszcze spotykamy modernizmu o tyle w wewnętrznych urządzeniach styl ten dziś przedostaje się już wszędzie. Zwiedzając większe zakłady stolarskie i tapicerskie, przerzucając katalogi przedmiotów ku ozdobie mieszkań służących, oglądając nowe dywany, próbki obić i meblowych materyi, przekonywamy się, jak wielkie siły pracują dziś nad wytwórczością przedmiotów, na których modernizm wyraźne wycisnął piętno. Zbudziło się gwałtowne dążenie stworzenia czegoś zupełnie innego, aniżeli wszelkie urządzenia domowe znane dotychczas, jakgdyby te niewłaściwe były dla dzisiejszych ludzi.

I przyznać należy, że z modernizmem dzieje się to, co się zapewne dziać musiało z każdym nowym kierunkiem, z każdą nową „szkołą". Im bardziej dany kierunek się rozwija, tem liczniejsze obok chybionych, dziwacznych, pojawiają się produkcye piękne i zastosowane właściwie. Nie powiem, iżbym z modernizmem bez zastrzeżeń pogodzona była, tem więcej, iżbym stylowi temu przyznawała przed innemi pierszeństwo, to jednak przyznać muszę, że mniej mnie dziś razi i że często znajduję w nim coś, co mnie zniewala do szczerego uznania.

Pamiętam, przed rokiem lub może dawniej nieco podobał mi się niezmiernie dowcip, zamieszczony w jednem z najlepszych pism humorystycznych. Rysunek, zresztą wybornie wykonany, przedstawia salon urządzony według nowego stylu. Z każdego kąta wyglądają jakieś olbrzymie potwory, od głów umieszczonych w rogach pod pułapem snują się pasma włosów po całym suficie, ręce i nogi wiją się, niby węże, po ścianach, po dywanach pełzają gady straszliwe, każde krzesło, sprzęt każdy, to jakaś poczwara okropna. Na środku salonu stoi mała dziewczynka, oczy zasłania rączkami i płacze. Od czasu jak mama „odnowiła" salon, mała nie może w nim spojrzeć w koło siebie, boi się. Dowcip ten wybornie malował „oryginalność" pomysłów modernistycznych. Odczuwałam go zaś tem głębiej, że na mnie owe „czyste linie", będące podstawą modernizmu, sprawiają niekiedy jakieś niepokojące wrażenie. Często przechodzę mimo pewnego składu zegarów w naszem mieście i tu sprawdzić mogę, o ile wspomniane wrażenie pozostaje intensywne. W jednem z okien magazynu wystawiony jest duży, stojący, szafkowy zegar w „nowym" stylu. Zatrzymuję się czasem przed nim i prawie zawsze po dłuższem wpatrywaniu się w niego dostrzegam w nim jakiś dziwny wyraz, linie te przemawiają do mnie niby smętkiem, niby ironią i niezadowoleniem. A przecież, na pierwszy rzut oka, wielka, ciemna szafa zegara, o ciepłym, zielonym tonie dość spokojnie się przedstawia.

Modernizm święci dziś pochód tryumfalny nietylko dlatego, że rozgałęził się w krajach najbardziej mu zrazu opornych, lecz i dlatego, że ogarniać zaczyna masy uprzywilejowane, gdy do niedawna jeszcze sprzęt modernistyczny był przeważnie przez skromniejsze mieszczaństwo nabywany. Jeśli zdarzyło się, że bardzo bogaty, człowiek nabywał podobne sprzęty, ustawiał je w przedpokoju. Modernizm był dotychczas wszędzie, najwybitniej zaś może w Niemczech, że tak rzeknę, mieszczańskim stylem. Działo się to zapewne z tej przyczyny, iż sprzęty modernistyczne były pierwotnie bardzo skromne i proste i dopiero obecnie, w przepychu i kosztowności, nie ustępują najzbytkowniejszym ludwikowskim stylom. Najosobliwsze drzewa, złocenia, inkrustacye, rzeźby, materye haftowane, dywany puszyste, wszystko to znajdujemy dziś w urządzeniach modernistycznych i to w jakim wyborze!

W rozwoju modernizmu, prym trzymają Niemcy. Nie było chyba prądu w sztuce i w sztukach stosowanych, któryby kiedykolwiek z taką potęgą jak modernizm, owładnął w Niemczech młode artystyczne siły, szczególniej zaś w Bawaryi i Saksonii. Nigdzie nie rzucano tego rodzaju pomysłów z taką zuchwałością, nigdzie też nie nagromadzono w tym kierunku takiego bogactwa, które obejmuje literalnie wszystko, co w urządzeniu domowem służyć może tak do użytku, jako i do ozdoby, zacząwszy od przedmiotów najdrobniejszych, prawie bezcelowych, a skończywszy na umeblowaniu kompletnem, boazeryach, malowidłach dekoracyjnych, tkaninach.

Angielskie „nowe" sprzęty noszą na sobie znamię zwykłej Anglikom pewności siebie, często wytwornej prostoty, a zawsze logiczne są w pomyśle. Francuzi w urządzeniach „art nouveau", z którem zrazu bratali się bardzo z ostrożna, poczynają sobie obecnie z bardzo charakterystyczną kokieteryą w wyborze form i materyałów, a porzuciwszy na chwilę ulubione swe, rodzime, ludwikowskie style, z taką swobodą i humorem zakreślają „swobodne" linie, tworzą takie piękne rzeczy, jak tego oczekiwać można po narodzie, który pod względem smaku przodował zawsze innym. Są w pośród francuskich fabrykantów-artystów niektórzy, jak: Plumet, Selmersheim, Majorelle, którzy z prawdziwem wirtuozowstwem rzucają niby bezmyślnie powikłane z sobą linie i z tych wyłaniają coś nietylko oryginalnego, lecz rzeczywiście niezwykle pięknego. Większość rysunków u Francuzów spoczywa na naśladowaniu konturów liści lub roślin. Widziałam modele kilku sprzętów pomysłu Majorella i przypuszczam, że są one najbardziej skończone ze wszystkiego, co Francuzi w tym kierunku stworzyli. Wytworność wykończenia podnosi wartość każdego ich wyrobu.

Trudno to opisem tylko dać dokładne wyobrażenie o rysunku i formie, lecz już samo zestawienie drzewa będzie miarą wielkiej oryginalności a zarazem smaku. Całość sprzętów z matowego mahoniu, otoczyny zaś z egzotycznego drzewa Curbaril, o gorącym, bronzowym tonie, poprzecinanym omal nie czarnemi żyłkami. Na nogach, kantach, szufladach, drzwiczkach prześlicznej roboty bronzowe okucia, których piękna, matowa patyna w doskonałej znajduje się godności z głębokim tonem drzewa.

Myśl, żeby w stole, przeznaczonym do jadalnej sali, umieścić w pośrodku kosz do kwiatów, który sprawia wrażenie, jakoby z krzyżujących się nóg wyrastał, o ile jest piękna i nowa, o tyle niepraktyczna, choćby ze względu na trudność w nakryciu a przytem zastosowaniu odpowiednich obrusów.

Moda obecna niesłychanie zbytkownie każe przybierać okna. Okno, to dziś jeden z najbardziej kokieteryjnych punktów wytwornego mieszkania. Ciężkie draperye nie są obowiązujące, natomiast firanki, zasłonki, rolety, rysunkiem, bogactwem deseniu i gatunku przechodzą wszystko, cośmy w tym rodzaju znali dotychczas. Widzimy wspaniałe, wydatne jak rzeźba koronki, tiule delikatne, tkaniny jedwabne, zlekka przyżółcone, w prześlicznem zestawieniu ze staroświeckiemi koronkowemi wstawkami, a do tego jeszcze plisowania, falbany, à jour'y iście jak do jakiej matinée dla pięknej, strojnej kobiety.

O zakładaniu firanek niejedną też możnaby napisać uwagę: Firanki po większej części bywają zakładane szablonowo, bez wdzięku. Zwilżone przy zawieszaniu, fałdy firanki wysychają sztywno i zamiast przedstawiać lekko rzuconą na okno zasłonę, stają się jakiemś niby drucianem obramowaniem. Wielkość i forma okna oraz ilość przepuszczanego przez nie światła powinny być niejako wskazówkami przy upinaniu firanek

Wysmukłe okno nie znosi przeładowania fałdami nazbyt ciężkiemi, okno znów szerokie, nizkie będzie w niezgodzie z firanką lekko upiętą i powiewną. Zresztą firanka powinna być także do ogólnego stylu czy nastroju danego kącika zastosowaną.

Dzieje się tu podobnie, jak z dobraniem stroju, odpowiedniego do rodzaju typu. Często przy smaku i pewnej umiejętności skromnemi środkami osięga się prawdziwie artystyczne rezultaty.

Na zakończenie słówko o modach.

O nowościach letnich niewiele do mówienia. Jedno wszakże zanotować możemy, oto: panowie bluzek zostało nowem rozporządzeniem mody ograniczone. Spódnica „tailleur", w połączeniu z lekką bluzką, tak chętnie podczas upałów noszona, w mieście uważana jest stanowczo za „déplacée. Miejsce jej zajęły suknie fularowe, pikowe albo płócienne.

Bluzka nie została jednak z tualety eleganckiej i modnie ubierającej się kobiety usunięta. W podróży, przy ubraniu domowem, na wsi, nad morzem, w górskich miejscowościach bluzka długa jeszcze przedstawiać będzie szerokie pole do coraz nowych inwencyi. Na ulicy zaś wolno bluzce jedynie ukazywać się dyskretnie z pod bolera.

Na ostatnich uroczystościach na wystawie pojawił się nowy rodzaj kapelusza. Oto cały kapelusz, formą najbardziej zbliżony do toka, jest to jeden, jedyny wielki kwiat. Olbrzymia taka róża: makówka, malwa, czy nasturcya, podobno nadzwyczaj malowniczo wygląda na kształtnej, z wdziękiem uczesanej główce. Nowość to zapewne przechodnia i nietrwała, w zastosowaniu wszakże do niektórych celów, jak np.: korsa kwiatowe, zabawy, koncerty w ogrodzie, może się przez jakiś czas utrzymać. Atoli przy wyborze takiego, prawie że kostjumowego kapelusza jeszcze bardziej, aniżeli przy wyborze innego, baczyć należy na harmonię z ogólnym typem twarzy.

Zofia S.

Oryginalne klejnoty.

O pierścieniach, zaopatrzonych w zatrute sztyleciki czytaliśmy i słyszeliśmy już często, nikt z nas jednak nie widział pewnie tej niebezpiecznej broni. Niedawno sprzedawano na publicznej licytacyi w Londynie podobny pierścień, piękny, starożytny, ozdobiony rzadkiej wielkości topazem i ogromnemi perłami. Jedna z nich, lekko naciśnięta, usuwa się, a z pod niej ukazuje się maleńki nożyk, który niegdyś bezwątpienia był zatrutym. Oryginalny ten pierścień należał w końcu do pewnego Hiszpana na półwyspie Florida.

Bardzo dziwne a zarazem historyczne klejnoty posiada miss Lucy Lee-Hill, córka jednego z przywódzców amerykańskich. Jest to naszyjnik, dwie bransoletki, kolczyki, grzebień do włosów, broszka i guziki do mankiet, a każdy przedmiot składa się z złotych guziczków, które były przyszyte do mundurów poległych lub ciężko rannych oficerów, walczących za niepodległość Ameryki. Ale jest to niczem w porównaniu do straszliwego łańcuszka do zegarka, będącego w posiadaniu pana Thornton w blizkości Nowego-Yorku. Pan Thornton ma krewnego, jednego z najsławniejszych chirurgów N. Yorku, a ten podarował mu niedawno łańcuszek, którego ogniwa zdają się być wyrzeźbione z kości słoniowej. Ale są to cząstki kości z odjętych rąk i nóg pacyentów sławnego chirurga. Najdziwniejszym jednak jest naszyjnik, należący do żony jednego z najbogatszych kupców w Chicago. Trzeba mieć co najmniej bardzo mocne nerwy, aby się stroić w naszyjnik, złożony z trzech rzędów wybornie zachowanych — oczu ludzkich! Oczy te pochodzą od mumii peruwiańskich. — Indjanie Preu posiadali tajemnicę zakonserwowania na wieki oczu ludzkich. Oprawione w złoto, wyglądają wcale nie źle, ale bądź co bądź — stroju tego nie każda z naszych pań chciałaby pewnie nosić. — W końcu wspomnieć jeszcze należy o jednym istniejącym naszyjniku z czarnych dyamentów, którego właścicielką jest milionowa wdowa, pani Celia Wallace. Naszyjnik ten kosztuje pół miliona marek i ma 14 wielkich, czarnych kamieni, z których każdy otoczony jest pięcioma mniejszemi, białemi brylantami. Kontrast ognia czarnych i białych kamieni ma być zachwycającym.

Oska.



Fantazyjny kapelusz damski „a la reine."

O miejscach przy stole.

W ostatnich czasach zapanował w większych towarzystwach, mianowicie tam, gdzie dużo jest młodzieży, zwyczaj, pozostawienia miejsc przy stole i dobierania się par, przypadkowi. Młodzież bardzo prędko polubiła ten nowy rodzaj zabawy, dodaje to rzeczywiście wesołości, i ułatwia gospodarzowi lub gospodyni domu nudne pisanie kartek, przeznaczanie miejsc i t. d. Można to więc w rozmaity załatwić sposób, podamy zaś tu dwa, które najwięcej zyskały uznania. W dwa koszyki kładą się kwiaty świeże lub robione, o długich łodygach, i to w każdy koszyk równe kwiaty, ale po jednym tylko egzemplarzu. Ilość kwiatów musi dokładnie odpowiadać liczbie panien i kawalerów. Z jednego zakrytego koszyka biorą więc kwiaty panny, z drugiego panowie, a ci, którzy mają równe, tworzą parę. Zabawniejszym jeszcze jest drugi sposób. Pan domu daje do ciągnienia panom, pani domu pannom karteczki, na których są napisane imiona historycznych lub powieściowych par. I tak prowadzi do stołu Pan Tadeusz Zosię, Wacław Maryą, Sokrates Ksantypę, Dante Beatricę, Filemon Baucis, Paweł Wirginią, Pluto Persephonę i t. d. — Wszystko to służy do urozmaicenia wieczoru.

Phi.

Złote myśli o kobiecie.

Serce.

Tam myśl człowieka, gdzie jego serce,
a serce tam, gdzie skarb, który kocha.

Weber. Demokritos.

Im serce przeszkód ma więcej, tem zwykle kocha goręcej;
A co nam łatwo przychodzi, to prędko niesmak w nas rodzi.

Legatowicz. Epigr.

Niech serce bez uprzedzenia słucha mądrości natchnienia,
I chciwie za tem nie bieży, co do szczęścia nie należy.

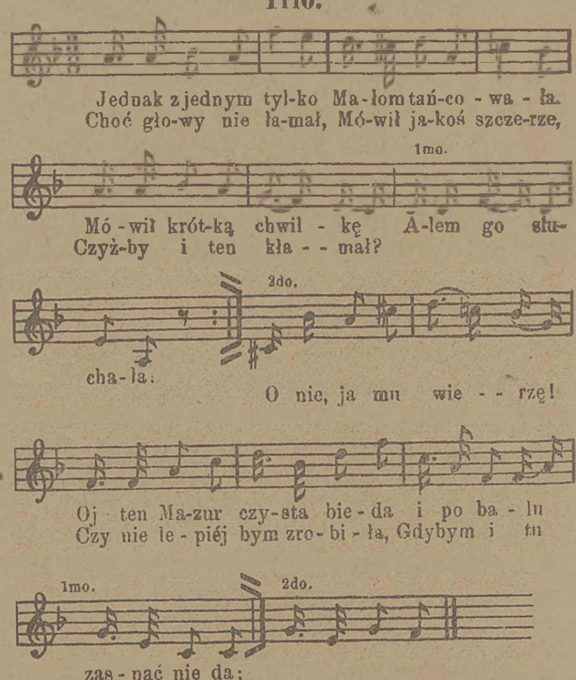
Tenże.

Uszy słuchając, język mówiąc, ręce zgarniając, a serce pożądając — nigdy się nie nasycą.

Przysłowie.

Dział muzyczny.

Trio.



CZĘŚĆ TRZECIA.

KRWAWY CHRZEST.

Powieść ze zdarzeń ostatnich w trzech częściach.

Napisał

J. Dzierzkowski.

(Ciąg dalszy.)

Emigrant i wygnaniec.

— Tak i jabym z pewnością myślał, ojcze dobrodzieju, gdybym nie znał tych paniczów.. syn lala, ojciec mądrala... obu nabić w armatę i wystrzelić, tak mi panie Boże dopomóż!

— Nie godzi się tak źle sądzić o bliźnich, ale zresztą przekonamy się... Jest jednak drugi wzgląd...

— Ciekawym bardzo.

— Może Stanisław, jego żona i rotmistrz nie takiemi oczyma patrzą na tę sprawę jak pan, panie Bartłomieju. Strata majątku, dla tych tylko jest stratą, co bez niego nie potrafią zdobyć sobie utrzymania. Stanisław, o ile mi wiadomo, nigdy na majątek nie liczył, tylko na swą głowę i ręce...

— Głowa i ręce!... Dobre to u nas w kraju, ale nie tu między szołdrami...

— Kształcił się przez czas dłuższy za granicą, nie jest tutaj w miejscu nieznanem i będzie mógł dać sobie radę..

— Daj Boże! daj Boże!... czy tak czy siak panie bratku, jeżeli jednak są tylko dwa względy, to ja liczę najbardziej, na ten trzeci, o którym jeszcze nic nie mówił ojciec dobrodziej.

— I masz słuszność — odrzekł poważnie kapucyn — masz słuszność panie Bartłomieju, tym trzecim względem jest wiara w Boga, który o wszystkich pamięta, i wiara w dobrych ludzi, którzy poczciwemu zawsze podadzą rękę.

Było to powiedziane z tak głębokiem przekonaniem, że sceptycyzm pana Bartłomieja nie śmiał już występować z opozycyą.

Milczeli przez chwilę.

— Wiesz pan co, panie Zahajpolski — rzekł ojciec Fulgencjusz po niejakim namyśle — chodźmy do tego pana Kettelera.

— Do kaduka! — przerwał Zahajpolski — teraz się mówi do jaśnie wielmożnego hrabiego Kettelera... Widać że to wszyscy przekradając się przez granicę stawać się muszą czemś odmiennem. Ksiądz dobrodziej musiałeś zrzucić habit i ogolić brodę, a on nieborak był zmuszony przystroić czuprynę w hrabską koronę...

Vanitas vanitatis! zanadto mała to rzecz, ażeby mu ją brać za złe. Kiedy chce być hrabią, chodźmy do hrabiego... byliśmy przecież obaj świadkami tej mniemanej sprzedaży... wierzaj mi, panie Zahajpolski, że z nami będzie inaczej gadał jak z panią szambelanową.

— A no, kiedy iść to chodźmy... alem pewny, że się nam w oczy wyprze, to czelna szelma... już ja ich znam przez skórę, tych farbowanych...

Poszli. Dość znaczną odległość od Zwingeru do ulicy Moszczyńskiego przebyli szybko, snać zaprawili się do pieszych uganianek po lasach, więc dla ich nóg wzwyczajonych przechadzka po taflowych chodnikach była igraszką.

Fritz Hahn otworzył im jak przedtem cioci Giefi i na polskie zapytanie o hrabieg omiał znów sposobność dać swoją stereotypową odpowiedź:

— *Verst...*

Ale nie dokończył tej odpowiedzi, zakrztusił się chyba, czy na nim widok którego z przychodniów nieprzyjemne zrobił wrażenie. Wymówił tylko pierwszą sylabę i spuścił oczy jeszcze szybciej i jeszcze niżej niż to było jego zwyczajem.

— Pan hrabia w domu? powtórzył nie rozumiejąc tej mimiki lokaja ojciec Fulgencjusz.

— Jes..... — szepnął podobny do Rafała Fajskiego rodowity Niemiec, ale i tego wyrazu nie dokończył, tylko usunął się w głąb przedpokoju, gdzie światło nie tak dobrze padało mu na twarz.

— *Ferszt! yes!* — powtórzył Zahajpolski — kadukby się z nim dogadał... Anglik widać jakiś... pan hrabia trzyma sobie Anglika... chodźmy zobaczyć sami czyśmy go zastali czy nie.

Weszli.

Gdyby byli mogli obejrzeć się i zobaczyć co się po ich odejściu działo, zobaczyliby przedewszystkiem, że Fritz Hahn obtarł sobie czoło, jakby z potu, którym nagle pomimo chłodnej pory został oblany i że przytem obtarciu wykrzywiła mu się peruka; że następnie Fritz Hahn, wyjął z kieszeni szczoteczkę z lusterkiem, przejrzał się i ręką się w czoło uderzył, powtarzając z cicha:

— *Bin ich aber dumm, aber dumm!...*

Usłyszeliby dalej, że na Fritza Hahna spłynął dar Ducha św. i że mocą tego daru, tenże Fritz Hahn, rodowity Niemiec, nie umiejący ani słowa po polsku, do powyższych wyrazów dodał najdokładniej wymówione w języku polskim:

— A choćby mnie i poznał, to mi tu zrobi figę, figę.

Poczem poprawił perukę, przejrzał się jeszcze raz, uśmiechnął się, szczoteczkę schował do kieszeni i na palcach poszedł do drzwi saloniku, w którym pan Artur przyjmował swoich gości. Tu umieścił się w pochylonej pozycyi tak, że ucho jego w równej linii było z dziurką od klucza, musiał widać upatrywać jakiejś plamki na podłodze, a plamka ta była zapewne dla niego wielce interesującą, gdyż przez cały czas bytności ojca Fulgencjusza z panem Bartłomiejem, u byłego kamerjunkra, postawy nie zmienił i wpatrywać się w podłogę nie przestawał.

XXII.

Jeżeli Duch św., który tak nagle obdarzył Fritza Hahna umiejętnością nieznanych mu przedtem języków, dał mu nietylko zdolność mówienia, ale i rozumienia tego, co inni obcemi językami mówią, to Fritz Hahn, z wyjątkiem kilku wstępnych frazesów, które pan Bartłomiej i ojciec Fulgencjusz z byłym kamerjunkrem zamienili, mógł rozumieć i słyszeć od początku do końca całą następującą rozmowę:

— Pan hrabia — mówił pan Bartłomiej — był podobno łaskaw oświadczyć pani szambelanowej Wieluńskiej, żeście panowie to jest pański ojciec i pan, w jej oczach za gotówkę kupili Zaskale, od pana rotmistrza Gradowskiego, że zatem z tytułu kupna tej wioski nic się od panów panu rotmistrzowi nie należy..

— O ile sobie przypominam — odpowiedział na to hrabia Artur — wyraziłem się mniej więcej w ten sposób.

— I pan hrabia powtarza to obecnie?...

— Przeciwnie... pan powtarzasz... ja tylko poświadczam, że rzeczywiście wyraziłem się w tym sensie.

Odpowiedź wskazywała, że pan Artur chce prowadzić całą rozmowę w sposób jak można najbardziej dyplomatyczny,

— Pan hrabia jednak — wtrącił ojciec Fulgencjusz, mitygując wzrokiem Zahajpolskiego, który już był gotów wybuchnąć — pan hrabia przypominasz sobie, że przy akcie tej sprzedaży byli jeszcze inni świadkowie.

— O ile sobie przypominam byli... a nawet w ich liczbie sądzę, że się obaj panowie znajdowaliście...

— To prawda... Otóż inni świadkowie są tego zdania, że rzecz miała się trochę inaczej... czy pan hrabia temu zaprzecza?

— Niczemu nie zaprzeczam... owszem... — odpowiedział były kamerjunker — dziwi mnie nawet trochę, że panowie moglibyście żądać, żebym wobec gadatliwej prawdopodobnie kobiety wyrażał się inaczej, i narażał całą sprawę na wyjawienie.

Było to prawie wyraźne przyznanie się, że kupno było fikcyjne i po tych słowach zdawało się, że całe przypuszczenie, cały przestrach pana Bartłomieja były tylko rzeczywiście wynikiem babskiej plotki, w którą poczciwy szaraczek lekkomyślnie uwierzył.

To też ojciec Fulgencjusz prawie tryumfująco spojrzał na swego towarzysza a Zahajpolski czuł się trochę pomieszanym i zawstydzonym.

— Byliśmy przekonani, że te słowa z ust pana hrabiego usłyszymy — rzekł po chwili wstając z krzesła kapucyn — wiedzieliśmy o tem, że pan hrabia nie ubliży godności swojej i nie odmówi świadectwa prawdzie, a wizytę naszą niech pan zechce przypisać życzliwej chęci położenia tamy niedorzecznej plotce w samem jej źródle. Teraz nie pozostaje nam nic więcej tylko pożegnać pana hrabiego.

Pan Artur z całą uprzejmością uścisnął dłoń kapucyna, rad wyraźnie z tak pomyślnego przebiegu i szybkiego zakończenia uroczystej a drażliwej rozmowy.

— Dziękuję panom, żeście mieli o mnie i o moim ojcu taką dobrą opinię.

Mówiąc te słowa wyciągnął obie ręce do Zahajpolskiego, swego niegdyś w służbie powstańczej dowódcy.

Pan Bartłomiej już był także gotów do wyjścia i chciał się żegnać, lecz nagle inna przyszła mu myśl do głowy.

— Czy tak czy siak, panie bratku, kiedy pan hrabia a mój niegdyś podkomendy jest taki łaskaw to trzeba kuć żelazo póki gorące.

Kapucyn i pan Artur spojrzeli na pana Barłomieja z pewnem zdziwieniem. Były kamerjunkier skrzywił się przytem trochę jakby przeczuwał, że ta druga część rozmowy nie pójdzie tak gładko jak pierwsza, ale nie okazał pomięszania, lecz wskazując gościom swoim krzesła, które poprzednio zajmowali, rzekł bardzo grzecznie:

— Słucham pana!

— Pan rotmistrz Gradowski — zaczął Zahajpolski — ma właśnie zamiar upoważnić mnie, żebym z panem hrabią w tym przedmiocie traktował, a zatem pozwoli pan hrabia, że nim przyjdę z pełnomocnictwem, wprzód prywatnie rozmówię się z panem w tym przedmiocie.

— Bardzo chętnie.

— Przyznajesz pan hrabia, że sprzedaż Zaskala była tylko fikcyjną.

— To jest przyznaję, że sprzedaż tej wioski nastąpiła w warunkach, które wyjawiać w jakiejkolwiek porze i jakiembądź miejscu nie byłoby bardzo ostrożnem.

— To prawda — przyznał Zahajpolski — na majątek rotmistrza rząd moskiewski nałożył sekwestr, więc gdyby się wydało, Zaskale uległoby konfiskacie, ale tutaj jesteśmy sami, można mówić o tem śmiało.

— Niech i tak będzie!

— Otóż rotmistrz — prawił dalej pa Bartłomiej — znajduje się obecnie w tem położeniu, że radby tę sprzedaż fikcyjną zmienić na rzeczywistą.

— To jest?... — zapytał pan Artur, zapewne z głębokiej dyplomacyi nie chcąc rozumieć o co chodzi.

— To jest, chciałby, żebyście panowie oszacowali Zaskale, założyli cenę, jaka wam się wyda słuszną, oznaczyli termina spłaty, jakie dla was będą najdogodniejsze, i....

— I?... — powtórzył ex-kamerjunkier.

— I? i? — zapalił się Zahajpalski — jakież tu jeszcze może być „i“?...: I zapłacili, czy siak czy tak, panie bratku!....

— Mocno żałuję, panie Zahajpolski — odpowiedział zwolna cedząc wyraz po wyrazie i siląc się widocznie na angielską flegmę pan Artur — mocno żałuję, ale to jest kombinacya jak najzupełniej niemożebna.

Zahajpolski zerwał się z krzesła, ale pod spojrzeniem ojca Fulgencyusza usiadł natychmiast.

— Dlaczegoż to, panie hrabio? — spytał kapucyn.

— Dla wielu, bardzo wielu przyczyn, księże dobrodzieju, — odparł pan Artur, starając się teraz odpowiedzi swojej nadać ton lekki — najprzód dla tych trzech, bez których według Napoleona nie podobna prowadzić wojny.... ciężkie czasy.... brak nam pieniędzy i pieniędzy.

— Moglibyście panowie odprzedać Zaskale....

— To prawda, ale w takim razie majętność ta wyszłaby z rodziny naszej. Księdzu dobrodziejowi wiadomo, że Gradowscy i Kettelerzy to jedna rodzina, czy w naszych rękach, czy w rękach rotmistrza, zawsze to pozostanie w familii... Przytem mój ojciec oddawna pragnął zaokrąglić Zaskalem....

— Właśnie ma do tego najlepszą sposobność — perswadował dalej ojciec Fulgencyusz — a co do wypłaty, skoro rotmistrz zgadza się na takie termina, jakie panowie naznaczycie....

— Może to być — przerwał pan Artur — że co do gotówki dałoby się jeszcze jakoś poradzić, ale zachodzi inna okoliczność...

— Naprzykład? — zapytał zaciskając zęby pan Bartłomiej, którego już gorączka opanowywała.

— Naprzykład taka.... my płacimy.... rotmistrz bierze pieniądze i naturalnie ma je.... rząd rosyski ma dobre oczy, widzi że ma pieniądze, których dotąd nie miał... więc po nitce do kłębka zkąd je wziął, naturalnie nie zkąd inąd tylko od nas, więc śledztwo, dochodzenia, wyrok, że sprzedaż była tylko pozorna, żeśmy rzeczywiście kupili dopiero po nałożeniu sekwestru kiedy już kupować nie było wolno, konfiskują nam Zaskale i nie mamy ani Zaskala, ani pieniędzy....

— To sądzisz pan, że w takim razie rotmistrz nie sprzedałby ostatniej koszuli, żeby oddać co się panom należy?... — podniesionym głosem zawołał Zahajpolski.

— Uspokój się pan — odrzekł z flegmą pan Artur — nie powiedziałem tego wcale, ale ten kochany rotmistrz nie jest wieczny, ma osiemdziesiąt lat....

— To może pan mniemasz, że sukcesorowie byliby tacy podli....

— Za pozwoleniem, za pozwoleniem.... niech się pan nie unosi.... ani sukcesorom nic nie zarzucam.... ale nim do tego przyjdzie mogą stracić wszystko lub znaczną część i mielibyśmy serce obdzierać biednych emigrantów z ostatka?... widzisz kochany panie Bartłomieju, że mimo najszczerszej chęci niepodobna... niepodobna...

— Niepodobna! — zerwał się Zahajpolski — ależ panie Ketteler, uważaj pan, że to jest tylko przypuszczenie, że za to ryzyko, o którem mówisz, oddaje się wam majętność za bezcen, za połowę, za trzecią, za czwartą część wartości, za tyle ile chcecie zapłacić..

— Nie grywamy w gry hazardowe i nie chcemy kupować niżej wartości, korzystając z czyjegoś przykrego położenia — odparł pan Artur — zapłacimy całą wartość Zaskala i zapłacimy lepiej jak ktokolwiek, jak tylko pan rotmistrz Gradowski będzie w możności przystąpić do aktu sprzedaży w drodze legalnej i jawnej...

— A tymczasem?...

— Tymczasem?.... jakież tu jeszcze może być tymczasem? — wzruszył ramionami exkamerjunkier — tymczasem musi zostać tak jak jest!

— Czy to ostatnie pana słowo?

— Ostatnie.

Zahajpolski nie był już panem siebie.

— No, to ja teraz powiem panu — wybuchnął — że to ostatnie słowo jest nikczemne i podłe, że chcesz pan skraść Zaskale, tak jak skradłeś ten tytuł, któryś sobie na drzwiach wypisał!...

— Zapominasz pan, że jesteś w moim domu! — nasrożył się pan Artur.

— Jeżeli pan chcesz, żebym to panu w moim powtórzył, to przyjdź do mnie.

— Całe szczęście pańskie — odrzekł z zimną krwią dziedzic imienia Kettelerów — że nie mam zwyczaju przywiązywać wagi do słów szaleńców.

— Jak się panu podoba! — zawołał pan Bartłomiej i otworzywszy drzwi tak szybko, że Fritz Hahn nie miał jeszcze czasu zmienić pozycyi, potrącił go i wyszedł do przedpokoju.

Za nim wyszedł zwolna ojciec Fulgencyusz.

Pan Bartłomiej szedł szybko i wrzał. Poczciwy kapucyn nie oswojony jeszcze z noszeniem cywilnej odzieży, zaledwie mógł za nim wydążyć.

— A poganin! infamis! bezbożnik!.... Gdyby mnie wasza ojcze obecność nie mitygowała.... jakem Zahajpolski sponiewierałbym go i poszarpał... Ale czy tak czy siak panie bratku, co się odwlecze to nie uciecze.... jeszcze się między nami nie skończyło!...

— Zawsze gorączka z waści, zawsze gorączka — uspokajał go zadyszany trochę ojciec Fulgencyusz — ot i teraz spieszycie się tak, jakby kto gonił, albo jakbym ja miał zdrowe nogi i był do tych opiętych kurtek i szarawarów przywykły!....

Pan Bartłomiej zwolnił trochę kroku i przycichł.

— Gdybyś się był jegomość zastanowił, panie Zahajpolski — mówił dalej ksiądz — tobyś był tej awantury nie robił...

W szaraczkowcu na nowo krew zawrzała.

— Gdybym się był zastanowił!... ależ to całe szczęście, żem się nie zastanowił, bo teraz gdy się zastanawiam, to zaczynam żałować, żem mu kości nie pogruchotał.

— A przecież — rzekł zwolna kapłan — zastanowiwszy się, w tem co on gadał jest jakaś racya i gdyby taka sprawa pod sąd jakiś przyjść miała, to kto tam wie czyby nie wygrał...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

SĄD BOŻY.

Tłómaczył z angielskiego S. P.

TOM I.

(Ciąg dalszy.)

— Zdaje mi się, — szepnęła młoda dziewczyna drżącym głosem, że pan mówiłeś poprzednio, że.... że.... mordercę pani Klimmer znaleziono....

Więc sama rozpoczynała niebezpieczną rozmowę! Byrd przytłumił swoje wzruszenie i rzekł swobodnie:

— Tak, dziś odbyło się przesłuchanie świadków, i coroner jest przekonanym, że odkrył zbrodniarza.

Próba powiodła mu się znakomicie. Iwona była bliską zemdlenia. Twarz jej skrzywiła się takiem śmiertelnem przerażeniem, że nawet mniej baczny obserwator byłby mógł odgadnąć jej myśli.

— Ach to okropne! — jękła, zakrywając twarz rękami, słuchać o morderstwach... I kto popełnił zbrodnią, kto? Znasz pan jego nazwisko?

— Jakiś pan z Toledo, Walery Hildret, którego całe położenie majątkowe zależało od pani Klimmer.

Byrd musiał zebrać wszystkie siły, aby mówić spokojnie. Iwona widocznie spodziewała się inne usłyszeć nazwisko, bo teraz odetchnęła swobodniej, a twarz jej lekkim pokryła się rumieńcem.

— Walery Hildret? powtórzyła, nigdy nazwiska tego nie słyszałam!

— Wierzę, w mieście nikt go też nie zna. Przybył on tu dopiero w dniu, w którym morderstwo zostało popełnionem. Czy on rzeczywiście jest winowajcą, tego na pewno powiedzieć jeszcze nie można, pozory jednak są przeciw niemu i biedny człowiek został uwięzionym.

— Uwięzionym? Doprawdy?

— Tak, coroner inaczej postąpić nie mógł wobec takich faktów. W chwili, kiedy pani Klimmer odebrała cios śmiertelny znajdował on się w jej domu. Dowodzi przecież, że był w sieni, i że nic nie widział i nie słyszał, co się w mieszkalnym pokoju działo. Na innego nie pada żadne podejrzenie, bo nikomu nie zależało na jej śmierci tak, jak jemu. To też trudno mu będzie udowodnić niewinność. Ale może on istotnie jest mordercą, mówił Byrd dalej, niezważając pozornie na przerażenie Iwony, chociaż trudno sobie wyobrazić, aby człowiek tak młody, wykształcony i wytworny mógł coś podobnego popełnić!

Iwona zamyśliła się na chwilę.

Więc on był w sieni, — rzekła nareszcie. Czego on tam chciał? Po co wogóle był u pani Klimmer?

— Chciał się z nią rozmówić, to jest, chciał tylko ją widzieć gdy był już w sieni, rozważał sobie, co mu uczynić należy, jednem słowem wszystko to brzmi bardzo nieprawdopodobnie. Ale cała ta sprawa jest tak zagadkową, tajemniczą....

— I powiedział, że słyszał krzyki wdowy?

— Nie. Jeżeli mówił prawdę, i jeżeli rzeczywiście był w sieni, podczas kiedy mordowano panią Klimmer, to uderzenie musiało być tak silne i nagłe, że nieszczęśliwa nie miała nawet czasu do wydania okrzyku.

Z drugiego pokoju dochodziły ich dźwięki ładnej, wesołej piosenki, którą panna Treman właśnie śpiewała. Iwona przyłożyła ręce do uszu, jak gdyby ją śpiew raził.

— Ale, — zaczęła po chwili, jeżeli on nic nie widział i nic nie słyszał, to zkądże pan wiesz, że on się w tym właśnie czasie znajdował w tym domu?

— Wydało się to jedynie dokładnem obliczeniem godziny i minuty. On twierdzi, że o niczem nie wie.

— Mówisz pan, że to człowiek wykształcony?

— Tak, i przystojny bardzo!

— I zamknięto go w więzieniu?

— Jeżeli nie dziś, to jutro zamkną go napewno.

Iwona zbliżyła się do okna.

— Przypuszczam, szepnęła, że ma przyjaciół!

— Może, ma też jeszcze dwie siostry.

— Oh, jak mnie głowa boli — rzekła, opierając czoło o szybę.

Muzyka umilkła w salonie i całe towarzystwo wracało znów tutaj na wesołą pogawędkę.

— Dziękuję panu, — szepnęła Iwona prędko, zwracając się do Byrda, smutna ta sprawa zajmuje mnie bardzo i cieszę się, że się czegoś dowiedziałam. Muszę pana teraz pożegnać.

I skinąwszy lekko głową, wybiegła z pokoju.

Byrd pozostał jeszcze pół godziny w gościnnym domu dyrektora, poczem smutny i przygnębiony wrócił do swego hotelu. Obowiązki urzędnika policyi stawały mu się coraz trudniejszemi do wykonania.

ROZDZIAŁ JEDENASTY.

Postanowienie.

Nazajutrz rano udał się natychmiast do Ferrisa.

— Przychodzę zapytać pana, — rzekł, co sądzisz o Walerym Hildrecie. Każesz go pan uwięzić?

— Tak, jest to moim obowiązkiem - brzmiała odpowiedź adwokata. Dowody jego winy mnożą się z każdą prawie chwilą, chociaż on sam zaprzecza stanowczo. Gdy wczoraj przeszukano jego kieszenie, znaleziono pierścionek, który, jak przyznał, miał owego dnia na palcu.

— Widziałem, że go wczoraj, podczas posiedzenia zdjął z palca i schował.

— Nie umiał też wcale ukryć szalonego strachu i niepokoju Hikory, tak się nazywa kolega pana z Nowego Yorku, powiada, że zachowanie się Hildreta było tak podpadającem, że musiało zwrócić uwagę każdego. Raz nawet wstał, jak gdyby chciał wyjść z pokoju, i gdyby tłum ludzi nie był mu zagradzał drogi, to byłby z pewnością uciekł.

— Czy ów Hikory jest człowiekiem, na którego zdaniu można polegać? zapytał Byrd ciekawie.

— Zdaje mi się, że tak, i sądzę, że zna swoje rzemiosło. Sposób, w jaki się zabrał do stwierdzenia tożsamości Hildreta, zasługuje na uznanie.

— Gdybym tylko mógł słyszeć jego zdanie o tej sprawie, ale bez jego wiedzy, rzekł Byrd zamyślony.

— To bardzo łatwe do wykonania. Oczekuję każdej chwili jego przybycia — jeżeli więc pan staniesz tam za portyerą, to możesz doskonale słyszeć całą naszą rozmowę.

Byrd zmarszczył czoło.

— Dobrze, uczynię tak — rzekł przytłumionym głosem.

I poszedł natychmiast na drugi koniec pokoju i ukrył się za portyerą, zasłaniającą drzwi przyległego saloniku. Zaraz potem dał się słyszeć od proga wesoły, krzykliwy głos detektiwa:

— Jesteś pan sam?

— Tak, tak, odrzekł Ferris. Czekam na pana już oddawna. No, i jakież tam wiadomości?

Hikory obejrzał się uważnie, poczem usiadł i zawołał żywo:

— Wiadomości takie, że ptaszek złapany i siedzi w klatce. Jadę teraz najpierw do Albany, może się tam czego jeszcze dowiem, a na drugi tydzień udam się do Toledo, jeżeli pan uważasz to za potrzebne.

— Więc pan jesteś przekonanym, że tylko Walery Hildret jest mordercą, a nie ktoś inny? zapytał Ferris, zapalając cygaro,

— Przekonanym? Cóż tajny policyant może mieć wspólnego z przekonaniem? To rzecz sędziego i przysięgłych! Ja wiem tylko, w jakim kierunku szukać dowodów, i to, że na innym nie ma dotąd ani śladu podejrzenia. Nie jest to wprawdzie wielką przyjemnością aresztować takiego wytwornego panicza, — dodał Hikory tonem człowieka, wypoczywającego na wawrzynach, ale wobec prawa każdy równy, bogaty czy biedny, tak raz już jest na świecie. Zdaje się zresztą, że sprawa ta bardzo go niepokoi. Przez całą noc nie zmrużył oka, tylko biegał po pokoju, jak lew w klatce, albo wpatrywał się w sufit osłupiałemi oczami, jak gdyby był blizkim postradania zmysłów. — Gdyby to dziadek wiedział, — szeptał ciągle, załamując ręce. Zaledwie słońce zeszło, kazał sobie

podać papieru i ołówka; żandarm czytał to, co pisał, powiadał więc, że był to list do sióstr, z prośbą, aby wierzyły w jego niewinność. Zakończenie było rodzajem testamentu. Trzeba go ciągle obserwować, bo nareszcie gotów popełnić samobójstwo. Masz pan dla mnie jakie polecenie?

— Nie, — odrzekł Ferris, dyspozycye moje już wydane. Dla pana będzie najlepiej, że pojedziesz do Albany, a gdy wrócisz, wtedy uradzimy nad dalszem postępowaniem.

— Dobrze, za dwa dni będę z powrotem, a gdyby zaszło coś ważnego, proszę mnie uwiadomić. W tym celu zostawiam panu mój adres.

Hikory pożegnał adwokata i wyszedł.

— No, i cóż pan sądzisz o nim? — zapytał teraz Ferris Byrda.

— Czy doktor powiedział panu, — odrzekł tenże, nie zważając na pytanie adwokata, że inspektor pozostawił mi do woli zająć się tą sprawą i służyć w ten sposób sprawiedliwości?

— Tak!

— W takim razie proszę oświadczyć Waleremu Hildretowi, aby się niczego nie obawiał, jeżeli rzeczywiście jest niewinnym. Powiedz mu pan, że ktoś zajmie się jego sprawą, i daje mu na to uroczyste słowo honoru, że nie spocznie prędzej, dopóki nie wykryje prawdziwego winowajcę i nie oswobodzi z okropnego położenia niewinnego!

— Co? krzyknął Ferris, zdumiony energicznemi słowami młodzieńca, którego dotąd uważał za dosyć spokojnego i obojętnego, — więc pan nie podzielasz zdania twego kolegi? Chcesz szukać mordercy w innym zupełnie kierunku?

— Tak. — Hikory jest przekonanym, że znalazł go i cieszy się z tego, to też nie wątpi ani na chwilę o winie Walerego Hildreta.

— A pan?

— Ja dotąd jeszcze nie wiem nic pewnego, ale mówię to tylko do pana! Jeżeli jednak mam śledzić dalej trop, na który wpadłem, to nikt nie powinien przeczuwać nawet, że zajmuję się tą sprawą. Inspektor życzy sobie wyraźnie, aby nikt nie wiedział, że należę do policyi. Interes sprawy najściślejszej wymaga dyskrecyi. Zadanie, którego podejmuję się dobrowolnie, to bardzo jest trudnem, możesz mi je pan ułatwić tem, że będziesz mi ufał bezwarunkowo. Pozwól, że sam zacznę śledztwo prowadzic, powtarzam też raz jeszcze, że dołożę wszelkich starań, aby wykazać niewinność Hildreta. Podług mego zdania jest winowajcą zupełnie ktoś inny, ktoś nie mający z Hildretem żadnej styczności.

— Więc pan postanowiłeś zająć się tą sprawą?

— Tak! — odrzekł Byrd stanowczo.

I tak skończył się krótki sen jego miłości. Teraz bowiem wyznał sobie w duszy, że był na najlepszej drodze zakochania się w Iwonie.

TOM II.

ROZDZIAŁ DWUNASTY.

Pająk.

Byrd wiedział bardzo dobrze, że w rozmowie swej z Iwoną Dare zaniechał tego, o czem nikt inny na jego miejscu nie byłby zapomniał, to jest, że nie wymienił nazwiska Eryka Mansela, którego rzeczywiście podejrzywał o zbrodnię, popełnioną na pani Klimmer. Gdyby był to uczynił, lub gdyby był chociaż wspomniał pobieżnie o nim, to Iwona zdradziłaby się może wykrzykiem lub ruchem, i potwierdziła tem jego domysły, na których mógłby dalej budować swoje plany.

Ale takie środki pomocnicze były wstrętne jego rycerskiemu usposobieniu, bo on nietylko był policyantem, ale i człowiekiem. Oprócz tego wczorajsza próba zupełnie mu wystarczała, i nie wątpił już wcale, że podejrzenie jego było uzasadnionem.

Potrzebował teraz jeszcze zbadać, czy fakta odpowiadały jego przekonaniu, a zadanie to, chociaż niezmiernie trudne i uciążliwe, postanowił natychmiast spełnić.

Przedewszystkiem chodziło o odpowiedź na dwa pytania, i to, czy mężczyzna, z którym Iwona spotkała się na dworcu w Syrakuzie był siostrzeńcem pani Klimmer, o którym panna Firmin wspominała, i czy można było udowodnić, że ów siostrzeniec znajdował się w chwili popełnienia zbrodni w domu ciotki, lub w pobliżu jej domu?

Chcąc się więc dokładnie na dwa te pytania przygotować, poszedł Byrd raz jeszcze do domku wdowy, aby obejrzeć uważnie zewnętrzne jego otoczenie i wewnętrzne urządzenie. Przy tej sposobności powziął stanowcze przekonanie, że jeżeli ktoś inny niż Walery Hildret był mordercą, to musiał wejść do mieszkania ze strony ulicy i to w chwili, w której Hildret wychodził do sieni, leżącej od strony podwórza.

Dom wdowy miał trzy wejścia — jednego pilnował Hildret mimowoli, na drodze do kuchni znajdował się handlarz w krytycznej chwili, drzwi zaś pokoju jadalnego leżały tak, że wdowa, zamierzająca nakręcić zegar, musiała widzieć wchodzącego mordercę.

Przypuszczenie, aby złoczyńca mógł był wejść drzwiami od kuchni po oddaleniu się handlarza, było tak nieprawdopodobne, że nie warto było namyślać się nad tem. Zapewne więc wszedł on już tam poprzednio, i albo czekał on na panią Klimmer w pokoju jadalnym, podczas kiedy ona rozmawiała z Hildretem, albo schował się na górze i po jej powrocie do jadalni zeszedł z schodów, wiodących właśnie do tegoż pokoju.

I jeszcze o tem był Byrd przekonanym, że, jeżeli Hildret był niewinnym, to morderca mógł uciekać tylko drzwiami od podwórza w kierunku lasu. W tej stronie zaczynały się wprawdzie bagna, porosłe cierniami i głogami, ale kto uciekał po dokonanej zbrodni, ten mógł w pięciu minutach dostać się tą drogą do lasu. Tyle czasu upłynęło napewno, zanim Ferris otworzył drzwi pokoju jadalnego, aby patrzeć na pole i ogród. Więc temi drzwiami uciekł morderca, płot bowiem, otaczający ogródek, był nizki i każdy mógł go z łatwością przeskoczyć. Byrd postanowił sam prędko drogę tę odbyć, aby się przekonać, czy po drugiej stronie bagna można się zaraz ukryć w lesie. Ale była to trudna próba. Nierówną ziemię pokrywała woda, a kto się poślizgnął i upadł, ten tylko z największem natężeniem zdołał znowu na bezpiecznem stanąć miejscu. W każdym razie ucieczka tędy była możliwą, i Byrd, cały zbryzgany błotem i szlamem znalazł się po upływie pięciu minut w lesie, na mocnej ziemi. Zanim jednak uszedł kilkadziesiąt kroków, zauważył wązką ścieżkę, wiodącą do jakiejś na wpół zapadłej chaty, stojącej obok ogromnego odłamu skały Nie namyślając się długo, zwrócił się ku owej chacie i zajrzał ostrożnie przez stłuczone okno do jej wnętrza, ale widząc, że nie ma tam nikogo, poszedł dalej. Po upływie pół godziny, gdy zdawało mu się, że musiał przejść całą szerokość lasu, ujrzał się, ku niezmiernemu swemu zdziwieniu nad żwirówką, wiodącą do miasta, i to właśnie w miejscu, do którego dochodziła kolej konna. Więc obszedł bagno w półkole, i teraz poznał, jak łatwą była ucieczka dla mordercy. Wszakże tu ztąd mógł on każdej chwili wsiąść do kolei konnej i jechać na dworzec! Dlaczego nikt nie pomyślał o tem? Byrd nigdy wprawdzie nie był jeszcze w tej okolicy miasta, słyszał jednak często, że to właśnie miejsce było ulubioną wycieczką mieszkańców Sibley, i rzeczywiście widok ztąd był bardzo piękny. Po prawej stronie żwirówki leżała przepyszna willa profesora Darlinga, w dolinie zaś, przeciętej rzeką, roztaczało się miasto, poznawał nawet pojedyncze domy, i zdawało mu się, że widzi zupełnie wyraźnie domek wdowy Klimmer,

Koleją konną wrócił do miasta, i zamyślony udał się do swego mieszkania.

— Jeżeli się nie mylę — mówił sobie w duszy — i jeżeli istotnie ktoś inny, jak Valery Hildret popełnił tę zbrodnię, to odbyłem teraz właśnie tę samą drogę, którą zbrodniarz uciekał.

Obecnie chodziło przedewszystkiem o to, aby dowieść, że przypuszczenia jego mogą być stwierdzone.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY.

Mucha.

W fabryce papieru Harrisona i Goomana, położonej na jednej z najgłówniejszych ulic w Buffalo, mnóztwo było robotników i urzędników.

Pewnego wieczora stał przy bramie obszernego dziedzińca fabryki jakiś wytwornie ubrany mężczyzna, który z niewyczerpaną cierpliwością patrzał uważnie na każdego z wracających do domu robotników, jakby pragnął poszukać kogoś w tym tłumie. Gdy wszyscy przeszli, zwrócił się do małych bocznych drzwi, któremi zwykle wychodzili urzędnicy.

Byrd, on to był bowiem, stał tutaj w celu przypatrzenia się wszystkim, którzy w fabryce mieli zajęcie, i to dlatego, aby zobaczyć siostrzeńca pani Klimmer, Eryka Mansela. Ale pomimo że czekał długo, nie ujrzał nikogo, ktoby miał

jakiekolwiekbądź podobieńswo do opisanego mu tak dokładnie młodzieńca. Zdawało mu się, że nikogo już w fabryce nie ma, i zamierzał właśnie stanowisko swoje opuścić, gdy nagle otworzono owe boczne drzwiczki i dwóch mężczyzn wyszło na ulicę.

Byrd zadrżał. Jeden z nich był młody, wysoki, silnie zbudowany, o twarzy, otoczonej jasnemi włosami i ozdobionej długim, jasnym wąsem. Podług opisu owego gościa w hotelu, byłby sobie Byrd inaczej wyobrażał Eryka Mansela, ale pomimo to postanowił nie spuszczać go z oczu. Gdy jasnowłosy mężczyzna, pożegnawszy się z swym towarzyszem, wskoczył do koleji konnej, pospieszył Byrd za nim i zajął miejsce tuż obok niego. Wkrótce znalazło się więcej podróżnych, Byrd musiał się posunąć, dziecko jakieś upadło i zaczęło płakać, a gdy nareszcie wszystko się uspokoiło, podniósł Byrd głowę i spostrzegł, że Mansela już w wagonie nie było. Zły i niezadowolony wrócił do domu, nazajutrz zaś posłał do fabryki po adres Mansela, i wynajął pokój w domu, w którym tenże mieszkał. Przy obiedzie spodziewał się napewno już dowiedzieć, czy wczorajsze jego domysły były słusznemi.

Gorączkowa niecierpiiwość opanowała teraz spokojnego dotychczas Byrda, który nie mógł prawie doczekać stanowczej chwili. Rychlej niż inni goście znalazł się w sali jadalnej, a gdy nareszcie wszedł ten, który tak nagle zniknął wczoraj z wagonu, nie wątpił już wcale, że znalazł rzeczywiście Manzela. Ale równocześnie dziwnego doznał uczucia. Twarz domniemanego Mansela zmieniła się, gdy oczy obydwóch spotkały się, a przecież nie znali się wcale! Byrd poznał, że nie on sam obserwował, tylko, że jego właśnie obserwowano, i żałował niezmiernie, że się nie przebrał za kogoś innego, zanim nie wynajął mieszkania w tym domu. Unikał więc starannie oczu Mansela, i rozpoczął ożywioną rozmowę z swemi sąsiadkami. Ale któż opisze jego zdumienie, gdy pod koniec obiadu dał się słyszeć wesoły okrzyk jednej z młodych panien, siedzącej na przeciwnej stronie stołu:

— Ah, jak późno przychodzisz dziś, panie Mansel!

Byrd spojrzał na wchodzącego i zaledwie zdołał ukryć swe wzruszenie. Tak, to był prawdziwy oryginał jego szkicu — wysoka, silna postać, twarz smutna, wyrazista, oczy ciemne, jasny wąs — to był ów mężczyzna, z którym Iwona spotkała się na dworcu w Syrakuzie!

Nowoprzybyły powitał ukłonem zgromadzonych, poczem zajął miejsce i jadł obiad, nie biorąc w rozmowie żadnego udziału. Byrd nie spuszczał oczu z niego i powiedział sobie, że ten człowiek chyba nie może być mordercą! Jeżeli popełnił zbrodnię, to musiało się to stać jedynie w chwili szalonego uniesienia, po którem bezpośrednio nastąpił najgłębszy żal i skrucha.

Ale to nic nie pomogło! Obowiązkiem Byrda było wykryć zbrodniarza i ocalić niewinnego, chociażby charakter Mansela był o wiele wznioślejszym i szlachetniejszym, niż charakter Hildreta!

Pierwsze więc pytanie zostało wyjaśnionem, teraz chodziło jeszcze o to, czy Mansel w czasie popełnionej zbrodni znajdował się w mieszkaniu wdowy.

Wieczorem zgromadzali się lokatorowie pani Hart w wspólnym salonie, i bawili się razem od siódmej aż do dziesiątej. Byrd przyłączył się bez wahania do wesołego towarzystwa i rozmawiał żywo z jedną z młodych panien.

— Zdaje się, — rzekł, — że pani Hart umie uprzyjemnić lokatorom pobyt w swym domu!

— O tak, i my też wszyscy jesteśmy zawsze w wybornym humorze, — odpowiedziała młoda dziewczyna. — Jedynym wyjątkiem jest pan Mansel. Ale nie można mu się dziwić.

— Pan Mansel? — powtórzył Byrd, zadowolony z obrotu, jaki rozmowa wzięła. — Ah, to zapewne ten, który tak późno przyszedł na obiad.

— Tak! Biedny niezmiernie jest strapiony okropną śmiercią swej ciotki, którą przed kilku dniami zamordowano w Sibley. Słyszałeś pan niezawodnie o tem. Jakiś Hildret zabił ją, a zanim umarła, wymówiła jeszcze kilka słów — wspomniała o jakimś pierścionku. Chciała pewnie opisać mordercę!

— Okropność i pan Mansel jest jej siostrzeńcem? W takim razie opowiedział pani dokładnie wszystkie bliższe szczegóły tego morderstwa.

— Broń Boże! Nic w świecie nie nakłoniłoby go do tego! On wogóle taki małomowny, a zresztą nie wie nic więcej o tej sprawie, jak inni. Do Sibley wcale nawet nie pojechał!

— Więc nie był na pogrzebie?

— Nie, zachorował właśnie, zaziębił się mocno i nie wychodził z pokoju. Ciotka jego zostawiła mu dosyć znaczny majątek, ale nie pojechał po niego. Niektórzy dziwią się, ja zaś...

W tej chwili wszedł do salonu ten, którego Byrd uważał wczoraj za Mansela, i zbliżył się szybko do rozmawiających.

— Wybacz pan, — rzekł, — zwracając się do Byrda, — że pozbawię cię miłego towarzystwa, ale chcemy urządzić loterją i obecność panny Klyton jest nam koniecznie potrzebną. Nazywam się Braun!

Byrd wymienił również swoje nazwisko, poczem Braun podał ramię młodej dziewczynie i poszedł z nią do przyległego pokoju.

Byrd pozostał sam, a spojrzenie, jakie rzucił na odchodzących, wyrażało gniew i niechęć. Dotychczas tak mu się dobrze powodziło, a ten Braun popsuł mu szyki!

Chcąc na nowo spróbować szczęścia, usiadł obok córki gospodyni domu, młodej, nieśmiałej dziewczyny, i zaczął bez długich wstępów.

— Ten wysoki, jasnowłosy mężczyzna, który tak późno na obiad przyszedł, nie lubi pewnie wesołego towarzystwa, bo zaraz po obiedzie oddalił się!

— Mówisz pan o panu Mansel, który ma żałobę. Ciotka jego została niedawno zamordowaną w sposób tajemniczy. Czytałeś pan zapewne o tem w gazetach. Nazywała się Klimmer i mieszkała w Sibley.

— Więc to jego ciotka! Pan Mansel zdaje się być bardzo strapionym jej śmiercią. Jest on zawsze taki poważny?

— Ah, to zacny i szlachetny człowiek. Wykształcony i zręczny, zajmuje się głównie maszynami, i wynalazł nawet sam jakieś nowe.....

— Pójdź pani do nas, — zawołał w tejże chwili Braun, biegnąc ku mówiącej. Młoda dziewczyna wstała, skinęła głową, i zostawiła Byrda rozgniewanego na dobre.

— Ten człowiek stara mi się przeszkadzać, jak może, — pomyślał, zaciskając ręce.

Ale nie dał się jeszcze odstraszyć. Po długich staraniach udało mu się zbliżyć do pani Hart, i z nią także rozpoczął zaraz rozmowę o Manselu. I właśnie kiedy się od niej dowiedział, że Mansel owego wtorku wyjechał z Buffalo, ukazał się znowu Braun, i przerwał dalsze opowiadanie gospodyni domu. Byrd zaklął w duszy — natrętny ten człowiek zaczynał go teraz niepokoić, a nie miał sposobu pozbycia go się. Wkrótce zaczęli się lokatorowie rozchodzić, i Byrd także musiał wrócić do swego pokoju na czwartem piętrze.

Na długim kurytarzu znajdował się cały szereg drzwi, bez tabliczek z nazwiskami, tak, że kto dokładnie nie był tutaj obeznanym z położeniem pokoi, ten łatwo mógł się pomylić. Byrdowi zdawało się, że jego pokój jest trzecim z rzędu, nie namyślając się więc, nacisnął klamkę i otworzył drzwi. Równocześnie jednak poznał, że się omylił, i że wszedł do pokoju — Mansela, czego najlepszym już dowodem był mały model maszyny, stojącej na stole. Ale i Mansel znajdował się tutaj. Siedząc plecami do drzwi, miał głowę opartą na rękach, jak człowiek pogrążony w najgłębszej rozpaczy.

— Panie Mansel — zawołał Byrd mimowoli, zbliżając się do niego.

Eryk zerwał się i spojrzał groźnie na nieproszonego gościa.

— Czego pan tu chcesz? — krzyknął z błyszczącemi od gniewu oczami.

— Wybacz pan, omyliłem się co do pokoju — odrzekł Byrd uprzejmie — i...

Nie dokończył zdania. Osłupiały z zdziwienia wpatrzył się, jak gdyby własnym nie dowierzając oczom, w przedmiot, który Mansel trzymał w ręku. Była to fotografia Iwony, ale twarz przekreślona na krzyż niemiłosiernie dwiema grubemi kreskami.

— Gdy wszedłem tu — rzekł nareszcie — myślałem, że panu się co stało, bo siedziałeś tak nieruchomie...

— Dziękuję za troskliwość — odpowiedział Eryk chłodno, odwracając głowę.

Byrd widział, że jest tu zbytecznym. Pomimo więc, że pragnął gorąco bliższą z nim zawrzeć znajomość, postanowił oddalić się, ale, właśnie gdy się zbliżał do drzwi, otworzono drzwi i Braun wbiegł do pokoju.

Tego było już zanadto! Mansel zniecierpliwiony do najwyższego stopnia, wskazał Braunowi drzwi, pytając, od kiedy przyzwoici ludzie wchodzą do cudzego mieszkania bez zapukania?

Braun przepraszał stokrotnie, tłumacząc się omyłką i zapewniał bez końca, że byłby przysiągł, że wchodzi do swego pokoju.

Byrd nie mógł pojąć dziwnego postępowania tego człowieka. Co to miało znaczyć? Zdumiony, niespokojny, powiedział jeszcze tylko Erykowi, że Brauna dziś dopiero poznał i oddalił się szybko.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY.

Ostatnia próba.

Przez całą noc nie zmrużył Byrd oka. Bezczelne zachowanie się Brauna męczyło go i gniewało niezmiernie, a pomimo najszczerszych chęci nie umiał sobie tego wytłomaczyć. Potem znowu przychodziła mu na myśl rozpaczliwa twarz Mansela i zeszpecona fotografia Iwony. Litość dla nieszczęśliwego młodzieńca, którego tylko ślepa namiętność mogła popchnąć do zbrodni, opanowała tak jego serce, że już chciał zaniechać dalszego śledzenia. Ale niestety, teraz było już za późno.

Na drugi dzień rano udał się Eryk bardzo wcześnie do fabryki, tak, że Byrd nie widział go przy śniadaniu, miał więc czas do obserwowania natrętnego Brauna. W zachowaniu się tego człowieka względem niego nie było nic, co mogło usprawiedliwiać jego nieufność, był on uprzejmy i zawsze gotowy do wesołej rozmowy. A jednak przeczuwał Byrd, że posiada w nim przeciwnika, który stara się wszelkiemi sposobami przeszkadzać mu i szkodzić, bo dlaczego lokatorowie pani Hart, wczoraj tak grzeczni, stali się dziś nagle dla niego nieprzystępnymi i traktowali go z pogardliwą nieomal obojętnością? Nawet poczciwa gospodyni domu przemówiła dziś do niego zaledwie kilka słów. I jakże zdumiał, gdy przed obiadem jeszcze powiedziała mu wręcz, że potrzebuje jego pokoju dla innego lokatora! Dodała wprawdzie, że nowy ten lokator zamierza pozostać tu bardzo długo, ale Byrd zrozumiał natychmiast, że to tylko pozorny powód do usunięcia go z domu. Ponieważ zaś cel byłby w każdym razie chybionym, gdyby na niego patrzano z nieufnością, przeto odrzekł spokojnie, że nie myśli bynajmniej narażać pani Hart na stratę i że zaraz poszuka sobie innego mieszkania.

Pół godziny później był już znowu w hotelu, do którego najpierw zajechał i rozważał, jak mu dalej postępować należy. Pomimo wszystkich przeszkód był jednak w posiadaniu kilku ważnych faktów, dotyczących Mansela. Wiedział bowiem najpierw, że Mansel pod pozorem choroby nie pojechał na pogrzeb zamordowanej ciotki, powtóre zaś, że namiętnie zajmował się budowaniem machin i że model jakiejś machiny znajdował się w jego pokoju. Co jednak najważniejszem było: że w dniu, w którym zbrodnia popełnioną została, wyjechał z Buffalo niewiadomo dokąd.

Ale to jeszcze nie wystarczało bynajmniej do usunięcia podejrzenia, ciążącego na Hildrecie. Byrd postanowił więc dowiedzieć się w fabryce, dokąd Mansel owego dnia pojechał, przebrał się więc do niepoznania i poszedł do fabryki, gdzie jednak wszędzie na niespodziewane narazić się musiał przeszkody. Niżsi urzędnicy, do których się najpierw udał, byli albo zbyt zajęci, aby go w ogóle przyjąć mogli, albo też odpowiadali na jego pytania krótko i niezrozumiale, właściciele zaś fabryki wcale się z nim widzieć nie chcieli. Zdawało się, że i tu ściga go niepowodzenie, jakiego doznał w hotelu pani Hart.

Byrd pomimo to nie tracił ani cierpliwości ani odwagi, i w końcu, chociaż z wielkiemi trudnościami, udało mu się zobaczyć pana Godmana, jednego z wspólników Harrisona. Godman, który tego właśnie dnia nie czuł się zupełnie zdrowym, był w złym humorze, i niechętnie spojrzał na upartego natrętnika.

— Pytasz pan o Mansela? — rzekł dosyć opryskliwie. — No tak, nasz kasyer nazywa się Mansel. Powiedz mi pan, czy przychodzisz po to, aby się dowiedzieć.....

— Tak, — przerwał Byrd stanowczo, chcąc raz już dojść do celu, — chcę prosić o wiadomości, na których sądowi bardzo wiele zależy. Przybywam z polecenia adwokata z Sibley, który pragnie wiedzieć, gdzie się pan Mansel znajdował przed obiadem w dniu 26go Września.

— Czemu pan go samego o to nie zapytasz? — zawołał Godman szyderczo. — Od niego otrzymałbyś najlepszą odpowiedź.

— Może być, ale chciałbym oszczędzić panu Manselowi nieprzyjemności, jakiej by niewątpliwie doznał, gdybym go o to wręcz zapytał, tem więcej, że w ostatnich czasach niejedna go podobno spotkała przykrość. Nie chodzi tu wcale o ważną rzecz, bo chociaż dnia tego została zamordowaną ciotka jego, i chociaż możnaby przypuszczać, że on, jako jedyny jej spadkobierca mógł się przyczynić do jej śmierci, to jednak nie ma żadnego przeciwko niemu dowodu, i nie można go o popełnienie tej zbrodni podejrzywać. Przysłano mnie tu jednak w celu zbadania tej sprawy; dowiedziałem się też, że tego dnia nie było pana Mansela w Buffalo, ale dlatego nie potrzebował jeszcze być w Sibley. Wiesz pan może dlaczego i dokąd wyjechał wówczas?

Pan Godman przybrał minę człowieka wyniosłego i niedostępnego.

— Żałuję, — rzekł chłodno, że o podróży pana Mansela nic powiedzieć nie mogę. Udaj się pan do niego samego po wyjaśnienia.

— Więc nie wyjeżdżał w interesach fabryki?

— Nie!

— Ale panowie wiedzieliście o jego podróży?

— Tak!

— Czy wolno mi jeszcze zapytać, kiedy wrócił do domu?

— W Środę był już znowu w biurze.

Byrd widział, że tutaj niczego się nie dowie, ale pomimo widocznej niechęci pana Godmana nie dał się odstraszyć.

— Jesteś pan zapewne zaprzyjaźnionym z panem Manselem? — zapytał spokojnie.

— Pan Mansel bywa często u nas! brzmiała szorstka odpowiedź.

— A zatem nie wątpisz pan, że będzie mógł dowieść swego alibi?

— Nigdy jeszcze o nim nie zwątpiłem!

Byrd powinien teraz był odejść, chciał jednak po raz ostatni spróbować szczęścia.

— Myślałem, — rzekł — że on pojechał do New-Yorku w sprawie swego patentu, bo wszakże wynalazł jakąś maszynę, którą z pomocą jakiego kapitalisty zamierza zbudować?

— Tak, zdaje mi się.

— Więc pewnie pojechał do New-Yorku, — powtórzył Byrd już śmielej, — aby się tam z kim naradzić..... Gdybym o tem wiedział napewno, mógłbym spokojnie wrócić do Sibley.

Jego spokój i szczery wyraz twarzy wywarły pożądane dobre wrażenie na panu Godmanie, który też zaraz stał się nieco uprzejmiejszym, i powiedział mu, że Mansel istotnie wyjechał na kilka dni w sprawie swej maszyny, ale że nie mówił, dokąd się wybiera. Ponieważ tym razem była to widocznie zupełna prawda, przeto Byrd, nie chcąc daremnie tracić czasu, pożegnał się i odszedł.

Ale w chwili, gdy otwierał drzwi, zauważył, że rozmowa jego z Goodmanem miała świadka. Zpoza długiej portyery wyskoczyła mała, dziesięcioletnia mniej więcej dziewczynka, i wybiegła przed nim do sieni. Tutaj stanęła i uśmiechając się znacząco, zawołała:

— Ja wiem, gdzie pan Mansel był! W Nowym Yorku wcale nie! Na marce listu, który papa od niego otrzymał, był stempel Monteil. Zbieram marki i wiem to napewno. Ale nie pozwól pan, aby kto panu Erykowi krzywdę jaką wyrządził!

I szczęśliwa, że przyjacielowi swemu wielką oddała przysługę, pobiegła do ogrodu, Byrd zaś z goryczą pomyślał, że to, czego tak gorąco pragnął się dowiedzieć, usłyszał z ust niewinnego dziecka.

Monteil było najbliższą stacyą Sibley.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Złote myśli.

Idee nieprędko kwitną i nieprędko owocują; ale to niech nas nie zniechęca: trzeba iść, trzeba iść zawsze naprzód. Idźmy naprzód, niosąc każdy światełko swoje, bacząc, aby nie zgasło. Nie inaczej gwiazdy czynią po przepaściach niebios, a wszechświat tem trwa i trwać będzie.

*

Młodości! tobie bole, męczarnie, ale i rozkosze; starym sen, sen długi, ale i kołyska bez biegunów.

Żal mi...

Żal mi cię cudnej młodości kochanie,
Coś w blaskach słońca wyrosło —
I darząc szczęściem wiosenne zaranie,
Rajskie pociechy przyniosło...
Bo szara proza życia już za tobą,
Jako zgłodniały sęp czyha,
I grożąc sercu wieczystą żałobą,
Z krainy marzeń je spycha...
Gdy kędyś przeszło wiosenne zaranie —
Żal mi cię, cudnej młodości kochanie!

Żal mi cię ptaszku śpiewny, złotopióry,
Bóg dał ci skrzydła do lotu,
Abyś mógł bujać po nad strome góry —
I kochał wolność twą złotą.....
Lecz pozazdrościł ci człowiek swobody,
Błękitnych nieba przestrzeni, —
Uwięził w klatce, smutne sprawił gody,
Bez słonka jasnych promieni!...
Gdy już nie możesz wzbijać się w lazury,
Żal mi cię ptaszku, śpiewny, złotopióry!

Żal mi cię kwiatku, wonny, śnieżno-biały,
Coś wyrósł tam wśród polanki, — —
Gdzie cię od świtu pieśni kołysały,
Słowika do swej kochanki...
Pozazdrościły ci lubej ustroni,
Burze, co starły się z lasem,
Wiatr rozpędzony po kwiecistej błoni,
Złamał łodygę przed czasem...
Gdy się twe listki po świecie rozwiały,
Żal mi cię kwiatku wonny, śnieżno-biały!

Ach! ale więcej od kwiatka, ptaszyny,
I tych serc w boju złamanych —
Żal mi, wśród obcych rzuconej dzieciny
Zdala od swoich, kochanych!
Bo pozazdrościł jej cichej ustroni
Wróg, cudzych łupów zgłodniały...
Rozszarpał Matkę — niemającej broni, —
Pisklęta w świat uleciały!...
Gdy im przyświeca dziś tęsknoty gwiazda —
Żal mi, wygnańców z rodzinnego gniazda!

—

Żal mi, gdy nad ich kolebką w zaraniu,
Nikt swojskiej piosnki nie nuci —
Nie przypomina kraju, na wygnaniu,
Ziarn zdrowych w serca — nie rzuci...
Każda jaskółka gniazdko swe pamięta,
I pozna świergot matczyny,
Czyżby wśród obcych wzrosłe niemowlęta,
Nie brały wzoru z ptaszyny?
O jeśli Matki głos, już je nie wzrusza —
Żal mi, bo strasznie wyziębła im dusza!

—

A przecież — Tyś nam dał, o wielki Boże!
Rodzinnej mowy, skarb drogi —
Której świat z ksiąg swych wymazać [nie może.
I wydrzeć nie śmią, nam wrogi.....
Której strzedz trzeba, jak świętej spu- [ścizny,
Bronić do chwili ostatniej,
Bo w niej jedyna nadzieja Ojczyzny,
I węzeł drużyny bratniej.
Kto dziś nie walczy pod tym świętym [znakiem —
Żal mi go, — przestał zwać się już [Polakiem!

Iry.

Ecce venit hora...

(Wspomnienie — fantazya).

Skończyłem właśnie Sienkiewicza „Quo vadis". Zamknąłem książkę i stanąłem w oknie. Wieczór był prześliczny, ostatnie promienie zachodzącego słońca złociły krzyże Lateranu, purpurą oblewały kolosalne posągi, na szczycie tej bazyliki stojące. W oddali gdzieś na horyzoncie majaczyły niewyraźnie już góry Albańskie.

Nigdy nie przypatrywałem się z taką rozkoszą, z takim zachwytem Rzymowi, jak w tej właśnie chwili. Być może, był to skutek codopiero przeczytanej powieści. — To, na co dawniej dość obojętnie spoglądałem, pociągało mnie teraz urokiem jakiejś poezyi ku sobie. Stałem tak w oknie i ani nie spostrzegłem, jak pogasły płonące krzyże na Lateranie, jak noc zapadała, ciemnym całunem zwolna zakrywając widok, którym się rozkoszowałem. Dziwnie byłem nastrojony.

Porwałem za kapelusz i wybiegłem z domu. Za chwil kilka byłem w Koloseum. O jakżeż inaczej przedstawiały mnie się dzisiaj te mury. Za dnia patrzyłem zwykle na amfiteatr Flawiusza tak jak się patrzy na olbrzymie zwaliska. W blasku słonecznym rysowały się kształty jego potwornie jakoś, całość sterczała „połamana, zczerniała, obumarła, do dzieła rąk ludzkich niepodobna". Doznawałem zwykle uczucia grozy na widok tego pomnika chwały imperatorów rzymskich w gruzy się sypiącego... Teraz, dziwna rzecz... Być może, srebrny, zimny blask księżyca, w którym się Koloseum kąpało, w inną jakąś je przybrał szatę; — być może także, Sienkiewicz inaczej duszę mą nastroił...

Stałem na arenie.

Wzrok mój ośliźgnął się po otaczających mnie przedmiotach. Przeląkłem się ich wielkością. Wspomnienia „Quo vadis" żywo się cisnęły do głowy. — Spojrzałem po arenie... Tutaj sterczał ów las krzyżów, tutaj płonęły pochodnie Nerona, tutaj drgały w kurczu śmiertelnym ciała męczenników... a tam z góry, z ostatnich rzędów ław, błogosławił książę Apostołów ginących za Chrystusa. Tutaj obnosił dokoła Vinicyusz ukochaną Lygię swoją — a tam huczał tłum stutysięczny, tam Miedzianobrody przez szmaragd na arenę patrzał...

W głowie mnie się zakręciło od tych myśli, tych wspomnień bez ładu się snujących. Osunąłem się na odłam jakiejś kolumny. Zapatrzyłem się zadumany w otaczające mnie ruiny.

Cichuteńko było dokoła.

Jak długo tak siedziałem nie wiem...

Nocy takiej, jak ta, myśli takich nigdy już pewnie mieć nie będę... Nie wiem, czy to właśnie myśli były; mnie się zdawało, że na wszystko patrzę, że to obrazy przedemną się przesuwające. Oczyma formalnie pożerałem to wszystko.

W tem usłyszałem tuż po za sobą jęk... jęk taki bolesny, takiej nieskończonej rozpaczy pełen, że mimowoli zadrżałem. Obróciłem się szybko. Cicho znów dokoła. Krew w żyłach krzepnąć poczęła, strach jakiś nieokreślony mnie ogarnął. Czułem, że drżę jak w febrze... Chwila minęła.

Plecami oparłem się o zimne kamienie, rozpalone skronie w drżących dłoniach ukryłem. Nagle ten sam jęk okropny się rozległ. Zerwałem się na równe nogi. Krzyknąłem przeraźliwie, tak że głos mój kilkakrotnie się odbił o wysokie sklepienia amfiteatru. Drżałem na całem ciele od stóp do głów. Niczego w tej chwili nie pragnąłem, tylko wydostać się jak najrychlej z tych murów. Rzuciłem się tedy ku wyjściu. Ale zaledwie pierwszy łuk przestąpiłem, doznałem uczucia, od którego włos dębem mi stanął... Owionął mnie powiew jakoby wichru... nie, to nie był wicher, to był niezwykły, tajemniczy szmer, szept — sam nie wiem co. Nóg ruszyć nie mogłem, jakby mi coś drogę zastąpiło. Było mi, jakoby mnie otoczyły tłumy jakichś duchów powiewnych, płynących do wnętrza cyrku nie pozwalających mi wyjść z amfiteatru. Oszołomiony i przerażony do najwyższego stopnia, zawróciłem z powrotem, by inną drogą wydostać się z tego zaczarowanego koła... Arena cała i cyrk cały oblane były zimnem i tajemniczem światłem księżyca, a mnie się zdało, że jakieś mgły gęste wyłaniają się ze wszystkich wejść, zapełniają wszystkie „vomitoria", a potem się rozdzielają równo po wszystkich siedzeniach, coraz, coraz wyżej i wyżej. Mgła wkrótce cały cyrk zapełniła... Być może, że to tylko złudzenie było...

Bez sił padłem na arenę i błędnym okiem wpatrzyłem się w gruzy. W uszach mi huczało i szumiały, przed oczyma skakały mi błędne ogniki...

Mgły gęste powoli cały amfiteatr ogarnęły, powoli wyraźniejszych nabierały kształtów. . . . .

. . . .

. . . .

Nagle doznałem uczucia, jakby niewidzialna jakaś ręka zasłonę ciężką z przed oczu mi usunęła. — Arena błyszczała w całej swej okazałości, mury piętrzyły się w około hen wysoko, a nad niemi powiewało purpurowe „velum".

Dokoła areny wznosiła się przepyszna balustrada marmurowa, ozdobiona płytami kruszców szlachetnych, sadzona kamieniami drogiemi. Rzecz dziwna; siedzenia w trzy były podzielone części, doskonale od siebie odgrodzone, — trzy także przy balustradzie wznosiły się „pulvinaria" i trzy nad niemi trony imperatorskie, — trzech także cezarów w najkosztowniejsze szaty przybranych w nich się rozparło.

Nad tronami zwieszały się po dwie pary orłów mosiężnych, w dziobach trzymających opony szkarłatne, osłaniające cesarskie loże.

Wszystkie ławy, wszystkie siedzenia zajęte były tłumami widzów...

Wzrok mój spoczął teraz na arenie.

Na samym środku wznosił się krzyż jaśniejący, a na krzyżu postać rozpięta

w białej szacie świetlistej, na trzech gwoździach wisząca.— Aureola świętości całą ją osłaniała....

Boże!... czyż dobrze widziałem? — tak,... ta postać.... widziałem ją już gdzieś... gdzie?... tak, na krzyżu.... Ha, możem tylko obraz podobny widział kędyś...

Pod stopami Męczennicy na krzyżu rozpiętej silnemi łańcuchami przykute, białe orlę do lotu się zrywało, a krew z poranionych rąk i nóg jego oblewała białe pióra jego.

Ziemia cała trupami zasłana była...

Okropny to był widok...

Nagle krew ta rozlana kurzem się wzbiła wysoko, mgły zakryły wszystko, a gdy opadły, ujrzałem zastęp mężów z bohaterem wielkim na czele, którego oko zapałem błyszczało i tak jak moje z rozrzewnieniem i bólem spoglądało na męczennicę... Wszyscy uzbrojeni byli. — Rzecz dziwna, w dłoniach dzierzyli kosy... mała ich garstka była... Tłumy widzów śmiechem parsknęły na ten widok, imperatorzy ręką skinęli, na arenę wdarły się legiony zbrojnych hufców...

Mgły na chwilę wszystko przysłoniły, a gdy opadły, ujrzałem znowu piasek zasłany trupami i krwi kałużę wielką...

I znowu krew ta kurzem się wzbiła pod niebiosa, i znowu bohaterzy z ziemi wyrośli i... padli...

A tak było trzy razy... za każdym razem mniejsza garstka.

Kałuża krwi tylko duża pozostała...

A tłum widzów szydził tylko . . . . .

. . . .

Nagle „velum“ purpurowe rozdarło się na dwoje, gromy wstrząsnęły amfiteatrem, i wśród piorunów huku, przy blasku błyskawic legion potężnych olbrzymów wystąpił, ale ci już nie dzierzyli w ręku broni żadnej, tylko młoty potężne i obcęgi żelazne. Ziemia zadrżała, skoro się ukazali. Za nimi zaś postępował szereg mężów poważnych. Na kolana rzucili się ci ostatni i załzawiony wzrok w niebo zwrócili, i modlitwą poruszyły się ich usta. Olbrzymy zaś z młotami i obcęgami rozkuwali na krzyżu rozpiętą Męczennicę i orlę białe, co pod jej stopami do lotu się zrywało. — Każde zaś ich uderzenie grzmiało jak grom i wstrząsało całym amfiteatrem.

Tłumy już nie szydziły, imperatorzy dumnie się nie rozpierali, ale pobledli i ze strachu zadrżeli..

Modlących wysłuchał Bóg i wejrzał na pracę olbrzymów... od uderzeń młotów wstrząsnęły się fundamenta amfiteatru. Raz jeszcze zagrzmiały narzędzia w rękach olbrzymów, a Męczennica wolną była, i białe orlę wysoko się wzbiło pod niebiosa...

W gruzy się rozpadł cyrk...

Mgły wszystko przysłoniły.. ciemność mnie ogarnęła zupełna . . . .

. . . .

Otworzyłem oczy. Leżałem na tym samym odłamie, na któren byłem się osunął. Głowa mnie bolała, ale dziwną radość czułem. Zawlókłem się do domu. Gdy dnia następnego przebudziłem się, stał nad łóżkiem mojem doktor. Słyszałem jak mówił do otaczających go: Zdenerwowany, gorączka... zalecam spokój wielki. *A. L. Dryja.*

„Ojcze nasz.“

Przed Twe ołtarze idziemy, Boże,
I na kolanach o rannej porze
Chwalimy Ciebie po wszystek czas,
Jako rodzice uczyli nas.

A gdy z wieczora do snu idziemy
I kornie Tobie się kłaniać chcemy,
Ojciec i matka pospołu znów
Uczą nas świętej — modlitwy słów.

A w tem serdecznem modlitwy słowie,
Białemi skrzydły nas aniołowie
Unoszą duchem — wysoko tam,
Do progu Twoich — niebieskich bram,

Gdzie każde słowo w rodzinne głosy
Otwiera jasne Twoje niebiosy,
Wkrótce się serca do Ciebie rwą,
Chwaląc Cię modłą, o Boże, Twą.

W której słowami tutaj świętemi
Zowią Cię Ojcem na naszej ziemi,
Której chorały ojczyste znasz,
Jakiemi mówim Ci „Ojcze nasz“.

My z wieków w wieki w rodzinne głosy
Podnosim ducha w Twoje niebiosy,
Nie znając innych do Ciebie mów
Nad czysty akord ojczystych słów.

My z Tobą, Ojcze, rozmawiać chcemy,
Lecz „Vater unser“ nie rozumiemy
I nikt nie zmusi nas Ciebie zwać
Słowem, którego nie chcemy znać!

Bo ojciec, matka prawem rozumu
Uczyć nas będą w rodzinnym domu,
Że ty o słowo ojczyste dbasz,
Boś Ty nie „Vater“ — lecz „Ojciec nasz“.

X.

Matka.

OBRAZEK.

Zachodzące słońce purpurowem światłem oblało strzechy wioski i, opuszczając się coraz niżej i niżej nad ziemią, skryło się gdzieś hen... za gąszczem starych olch, co rosną nad strugą. Ustał ryk bydła wracającego z pola i zwolna cisza poczęła zalegać wioskę.

Zdala tylko słychać jeszcze nawoływanie; czasem doleci klekot bociana, pies gdzieś zaszczeka; czasem wiatr przyniesie szmery podsłuchanej rozmowy, to znów wesoły śmiech dziewuchy przerwie wieczorną ciszę.

Jeszcze chwila i te ostatnie zamilkną odgłosy.

Na niebo wypłynął księżyc cichy — blady — i jął zwolna sunąć wśród szafirowej przestrzeni, rozsypując swe blaski na pola, łąki i gaje, na sady i chaty śpiących po dziennym trudzie wieśniaków.

Blask jego padł na siedzącą na przyzbie domu niemłodą kobietę, co jedna nie śpi wśród tej nocnej ciszy. Dobroczynny sen, ten koiciel trosk ludzkich i cierpień nie skleja jej powiek.

Rękoma oplotła kolana, oczy utkwiła w ziemię, a z piersi jej wydobywają się głębokie westchnienia.

Przy niej leży różaniec.

Nie modli się jednak, choć usta jej czasem szepcą jakieś słowa prośby czy skargi

O, ona się już i modlić nie może. Tak gorąco, tak szczerze się dotychczas modliła... Nic nie pomogło. Dwa razy już dawała na mszę świętą dobrodziejowi, tak szczerze suszyła nowenny, błagała Najświętszą Matkę o zmiłowanie. — Nic nie pomogło, Bóg znać odwrócił swoje oblicze od niej grzesznej, znać zapomniał o biednej matce!...

A może nie zapomniał! — może wysłucha ją jeszcze, — może wróci jej syna, do którego tak bardzo tęskni jej zbolałe serce...

Jakiś jęk żałosny wyrwał się z piersi siedzącej kobiety. Gwałtownym ruchem podniosła się z miejsca. Oczyma powiodła wokoło jakby czegoś szukała.

— Jaka jasna noc! jak cicho, jak pogodnie wokoło, choć w duszy jej szaleje burza zwątpień i rozpaczy. — O gdyby mogła wyrwać z piersi tę żałość... gdyby mogła nie myśleć... nie cierpieć... choć chwilę... choć jedną chwilę!...

Ale jak tu nie myśleć, kiedy Piotrek ciągle staje jej przed oczyma. Jednego go tylko ma na świecie, jedyne dziecko... jedną pociechę.

Pamięta z jakim trudem go wychowała, jak ciężko pracować musiała po śmierci męża, aby dać synalkowi i przyodziewek niezgorszy i jadło ludzkie. Takie to było wątłe, słabowite.

Dobytku swego nie mieli. Do dworu chodziła na zarobki, dziecko prowadząc ze sobą. Sama uczyła go czytać na książce, sama nauczyła jak trzeba być uczciwym, jak pracować.

Nie rozstawali się prawie. Chłopak bardzo był do niej przywiązany. Pracowali razem, gdy był starszy. Razem siadali po pracy wieczorami i ona opowiadała mu o różnych dziwach, co się na świecie dzieje, a o których przy dworze pracując zasłyszała.

Tak płynął rok za rokiem i dobrze im było razem, tylko że bieda coraz więcej dokuczała. Pan wieś sprzedał na kolonizacyą. Zarobki stawały się coraz cięższe; koniec z końcem ledwie można było związać. Ją wreszcie siły zaczęły opuszczać, zaniemogła. Często nie było czego do gardła włożyć, komornego czem opłacić. A tu żyć trzeba.

Z sąsiednich wiosek ludzie wyruszali za morze szukać lepszej doli.

„Pojadę z nimi, matulu“ powiedział jej raz Piotrek. I pojechał. Pamięta tę noc ostatnią przed jego odjazdem w dalekie kraje. Tak samo księżyc świecił na niebie; ludzie już spali i tylko derkacz odzywał się z nad strugi, tylko rechotanie żab przerywało ciszę.

Żegnała syna... On ręce jej całował, tulił się do niej... pocieszał..

„Rok przejdzie, matulu, jak jedna chwila przejdzie. Wrócę potem... grosiwa Wam przywiozę, żebyście mi na stare lata kątów cudzych nie wycierali.

Nie płaczcie, matulu. Ino mi zdrowi bądźcie... Wrócę i bieda nam już nie dokuczy...“

I pojechał ten syn jej ukochany; pojechało dziecko jej jedyne, tam... gdzieś za morze... do obcych krajów, do obcych ludzi, syn jej, na dolę czy niedolę... pojechał...

Została sama. — Nie idzie jej odtąd robota. Nie miły jej świat — ludzie. Tęsknota serce jej szarpie, sen odbiera.

Czeka rok... nie wraca. Czeka drugi... nie widać Piotrka... trzeci rok już upływa, a jego niema... i niema. Oczy z żałości wypłakała. Wychudła, wynędzniała, zżółkła, że litość bierze na nią patrzeć... A Piotrka niema. Gdyby nie poczciwi ludzie, co biedną przygarnęli do siebie — zmarniałaby już dawno... A jego niema!...

— Może gdzie zginął!! może już nie żyje... może nie wróci już nigdy jej dziecko kochane... naprożno wygląda je, naprożno je czeka?!...

Jak ugodzone strzałą zwierzę — biedna matka z krzykiem rzuciła się na ziemię i poczęła jęczeć boleśnie. Nikt jednak jęków jej nie słyszał, nikt łez jej gorzkich nie widział, ani rozpaczy.

Po niebie płynął księżyc jasny... blady...

Poruszane wiatrem szeptały cicho liście starej lipy... Na skraju lasu cicho pełzały tajemnicze cienie... Wznosiły się nad łąką białe opary nocne i ptak gdzieś kwilił żałośnie. Po drugiej stronie nieba piętrzyły się różowe obłoczki, zapalał się jasny poranek. Wstawał świt — zwiastun nowych nadziei i nowych bóli i nowych cierpień ludzkich...

Stanisław Kalina.

Krakus.

(Do illustracyi albumowej.)

Chrobacka ziemio! zły tobie czas!
Twa żyzna gleba twarda jak głaz:
Pług nie rozkroi stężałych brył,
Bez tchu pierś ludu, ramię bez sił.
Ugory chwastem zarosły w krąg,
Na niezmierzonej przestrzeni łąk
Poryku bydła nie słychać już.
Bocianie gniazda z wierzchołków grusz
Czernieją puste — ubiegł z nich ptak,
Snać mu pogwaru ludzkiego brak.
Tylko złowrogie zwiastunki słót,
Obsiadły wrony zwalony płot,
I tylko krucy ostrzą na łup
Krwi chciwe szpony i twardy dziób!
Inaczej było za dawnych dni!
Jak roje pszczolne w krąg leśnych pni
Krzątał się w polu chrobacki lud,
Z wesołem sercem ponosił trud,
Bo miał w nagrodę bogaty plon.
Gdzie sięgnąć okiem ze wszystkich stron
Stogi a brogi — gdzie ponieść słuch,
Dzwoni piosenka — aż rośnie duch!
Lica żniwiarek świeże jak kwiat...
Tak tu bywało za dawnych lat.
Ziemio chrobacka! inny dziś czas!
Czemu tak głucho szumi twój las?
Dlaczego Wisła żali się tak?
Czemu cmentarny pokwila ptak?
Dlaczego zmilkły poryki trzód?
Ziemio chrobacka, kędyż twój lud?
Czy go mór jadem ozionął złym?
Z nad strzech wieśniaczych nie bucha dym,
Walą się wzręby, — tylko z pod zgliszcz
Żałobną piosnką podzwania świszcz.
Widzę ja, widzę przez wieków mrok
Z jamy wawelskiej wypełzał smok;
Ze łba mu rogi wyrosły trzy,
Rozwarta paszcza ogniem się skrzy,
Potworny kadłub rozdęty wszerz,
Niesyty strawy; — ni człek, ni zwierz
Z pazurów smoczych nie wybrnie żyw.
Kmieć rzuca chatę, odbiega żniw,
Na góry, lasy, pędzi go strach,
Smętne niewiasty zawodzą w łzach.
Padają trupy, a wilki w cwał
Biegną i kęsy rwą z ludzkich ciał.
Dość biedny ludu, dość klęsk i prób!
Nie wszystkich jeszcze pochłonął grób.
Patrz!... kto ten szermierz rosły jak dąb?
Kroczy na smoka, w gardzieli głąb
Wepchnie mu dziryt — buchnęła krew,
Gad z bólu wściekły ryknął jak lew.
A szermierz kroku nie cofnie wstecz,
W serce potworu zanurzył miecz,
Szeroką stopą, co starczy sił,
Przygniata kadłub; ze smoczych żył
Krew się w dolinę stoczyła w bród,
Czerwieni nurty wiślanych wód.
Dzielny Krakusie, cześć tobie, cześć!
O czynie twoim pobiegła wieść
Na leśne stoki chrobackich gór.
I lud gromadnie wybiega z nór,
Z miłością bieży do zbawcy nóg.
„Witajże ludu! żwawo za pług!“
Zawoła Krakus — „czas wrócić ład,
Podźwignąć wzręby zwalonych chat!
A ja na szczycie Wawelu skał
Zbuduję gród mój, by wieki stał.
Pod skałą czarny niech świadczy loch,
Że z tej gadziny startej na proch
Nowy się potwór nie zrodzi już!
A kiedy umrę kości me złóż
Wierny mój ludu, nad Wisłą tam
Naprzeciw grodu warownych bram
Usyp mi kopiec; niech wieki trwa,
Niech światu głosi, że miłość twa
Płaci ofiarny dla ciebie trud,
Że godzien cześci, kto kocha lud.

Seweryna Duchińska.

„Dom Przemysłowy.“

Sprawą „Domu Przemysłowego“ interesuje się — jak tego różne dowodzą objawy — żywo społeczeństwo nasze, a niektóre gorętsze umysły już się niecierpliwią ztąd, że Spółka zakupiwszy obszerny i pięknie położony grunt, nie przystępuje do budowy. Niecierpliwość ta dowodzi, że idea powzięta przez założycieli Spółki ma gorących zwolenników; ona też uprawnia do najlepszych nadziei na przyszłość Spółki, a mianowicie, że Dom Przemysłowy dozna wśród szerokich mas społeczeństwa czynnego poparcia.

Na uspokojenie niecierpliwych i ciekawych niechaj posłuży wiadomość, że dzieło rozpoczęte przed 10ciu latami wchodzi na drogę urzeczywistnienia. Oto na podstawie trzech projektów budowy, wybranych przez członków budowy, wybranych przez członków jury z pośród nadesłanych rysunków konkursowych i uznanych za najlepsze, kończy obecnie architekt i budowniczy p. Mieczkowski opracowanie nowego projektu, uwzględniającego dodatnie strony owych trzech konkursowych prac. Specyalna komisya budowlana, w której skład wchodzą prócz zarządu z rady nadzorczej członkowie mający doświadczenie w sprawach budowy i finansowości, dba o to, aby potrzebom „Domu“ stało się zadość, i aby budowa wypadła praktycznie.

Jak już jedno z pism poznańskich — widocznie na podstawie dobrej informacyi — ogłosiło, będzie w domu frontowym na parterze oprócz bramy wjazdowej i wjazdowej 6 wielkich handli: na I i IIgiem piętrze mieszkania urządzone wedle nowoczesnych wymagań o 6 i 7 pokojach; na III i IVtem piętrze zaś mieszkania mniejsze.

W domu tylnym znajdować się będą na parterze obszerne lokale restauracyjne z kilku salkami i pokojami do większych i mniejszych zebrań i zabaw, a obok domu ogród.

Na I-szem piętrze tylnego domu mieścić się będzie wielka sala do zebrań.

Wszystko będzie jak najwygodniej urządzone.

Fasada frontowego domu robi wrażenie urozmaiconej a szlachetnej architektury.

Przy coraz więcej ożywiającym się ruchu handlowym w Poznaniu spodziewać się można, że składy będą poszukiwane, również mieszkania będą miały dla pięknego położenia i wygodnego urządzenia popyt. Sala, jak nie mniej salki mniejsze odpowiedzą dawno uczuwanym potrzebom naszych Towarzystw. Pokoje restauracyjne wraz z ogródkami mogą się stać punktem zbornym naszego obywatelstwa poznańskiego i prowincyalnego.

Skoro tylko mieszkania będą wolne, a więc w pierwszych dniach p. r., rozpocznie się rozbiór gmachów, stojących obecnie na gruncie Spółki.

Materyały z nich będą już we wrześniu najwięcej dającym reflektantom sprzedawane. Oferty przyjmować będzie członek zarządu pan A. Biskupski, przy placu Wilhelmowskim pod nr. 3.

Z powyższych danych nabiorą czytelnicy przekonania, że sprawa budowy „Domu Przemysłowego“ przechodzi w ostatnie stadyum.

Wiadomość ta poruszy niezawodnie wielu z tych wszystkich, którzy, pojmują doniosłość tej sprawy i mają życzliwość dla niej, lecz w przekonaniu, że budowa daleko jeszcze w polu, trzymali się dotąd zdala od tego przedsiębiorstwa. Teraz będzie zapewne inaczej. Słusznie spodziewa się Spółka „Dom Przemysłowy“ przypływu nowych członków i podpisywania deklaracyi na dalsze udziały.

Zgłoszenia należy nadesłać pod adresem:

„Dom Przemysłowy“ Spółka budowlana, eing. Gen. mit beschr. Haftpfl. w Poznaniu.

Przypominamy, że wstępne wynosi 5 marek a udział 100 marek z gwarancyą we wysokości 300 marek. Udział może być składany ratami po 10 marek kwartalnie. Tak więc i mniej miennym ułatwione jest nabycie udziału.

Podziwiamy Czechów i stawiamy ich za przykład, ile to wspólnemi siłami przy wytrwałości dokonać można. I u nas to możliwe; potrzeba tylko mniej próżnej gadaniny, przecherstwa, a więcej czynu.

Rada nadzorcza wraz z zarządem „Domu Przemysłowego“ zamianowała w ostatnim czasie szereg mężów zaufania, którzyby się zajęli pozyskiwaniem nowych członków i wystósowała do nich następującą odezwę:

„Idea nasza stworzenia przez wybudowanie „Domu Przemysłowego“ środowiska dla przemysłowych usiłowań cieszy się, będąc wypływem potrzeb naszych, sympatyą szerokich kół społeczeństwa naszego. Jeżeli mimo to liczba

członków Spółki naszej i udziałów nie odpowiada potrzebie, to winą tego jedynie ta okoliczność, że zarządowi i radzie nadzorczej trudno dotrzeć do każdego, którýby z chęcią dzieło nasze poparł. Będzie inaczej, gdy agitacyą ku pozyskaniu nowych członków zajmie się więcej osób.

W tym celu postanowiliśmy prosić o pośrednictwo większą liczbę mężów, pojmujących doniosłość naszej sprawy a przytem chętnych do usług publicznych.

Otóż z tą samą prośbą udajemy się do Wielmożnego Pana itd.

Rada Nadzorcza.
Bolesław Jagielski.
Zarząd.
J. Kużaj. A. Biskupski. T. Preiss.

†

Ś. p. Lucyan Grabski.

Nie przebrzmiały jeszcze echa dzwonów żałobnych, które towarzyszyły do grobu jednemu z najzacniejszych synów ziemi naszej, ś p. Józefowi hrabiemu Mielżyńskiemu, a oto znowu nam przychodzi nową sypać mogiłę dla jednego z najszlachetniejszych obywateli dzielnicy naszej, którego Bóg odwołał z pośród nas w sile męzkiego wieku, bo w 59 roku życia. Nie tylko Kujawy, na których wzrósł i pracował, lecz cała nasza Wielkopolska przejęta smutkiem głębokim na wiadomość o niespodzianej śmierci ś. p. Lucyana Grabskiego z Inowrocławia. Strata to dla społeczeństwa naszego wielka, bo mało mamy takich pracowników, którzy, jak Zmarły, serce całe włożyli w pracę swą dla ogółu, nie szukając dla siebie rozgłosu, bo niewielu wśród nas takich, którzyby tak szczerze i tak umiejętnie pracować umieli, jak ś. p. Lucyan. Przemysł polski stracił w nim wzorowego przodownika, który umiał budzić we wszystkich zaufanie nieograniczone i był przykładem, jak postępować należy, by pozyskać to zaufanie i sympatyą innych. Nic dziwnego też, że tak społeczeństwo nasze, jak i obcoplemieńcy obdarzali go urzędami honorowemi w Inowrocławiu, ponieważ wiedzieli, że Zmarły piastować je będzie ku zadowoleniu wszystkich, ponieważ znali jego takt, równowagę, dystynkcyą niezwykłą ducha i Jego czyste a gorące uczucia patryotyczne. Wyrażamy też społeczeństwu inowrocławskiemu serdeczny żal nasz z powodu straty męża, którego brak uczuje ono z pewnością niejednokrotnie.

Nie tylko jako członek społeczeństwa naszego odznaczył się Zmarły zaletami, jakich życzyć należy jak najszerszym kołom, ale był on przedewszystkiem wiernym synem swego Kościoła, niezłomnym chrześcianinem, który z poddaniem się przyjmuje wszelkie krzyże i nawiedzania. Śmierć starszej córki, uroczej panienki dorastającej a pełnej niezwykłych zalet ducha, targała bólem serce ojcowskie, lecz nie wywołała na usta skargi na wyroki Opatrzności. Podporą prawdziwą i towarzyszką rozumną przez życie była dla Zmarłego czcigodna Jego Małżonka, która krzepiła Go w smutku, dzieliła Jego radości i dopomagała w pracy społecznej i dziełach miłości chrześciańskiej. Niech Bóg pocieszy w tym smutku Ją oraz pozostałe dzieci, a żal Ich niech ukoi myśl, iż śmiało powiedzieć



Ś. p. Lucyan Grabski.

sobie mogą, że małżonek i ojciec, którego zgon opłakują, spełniał zawsze obowiązki swoje jako obywatel Polak i katolik z sumiennością godną naśladowania i Bóg Mu teraz nie poskąpi nagrody za żywot, spędzony dla Jego chwały i dobra bliźnich.

Wieczny odpoczynek racz dać Panie duszy ś. p. Lucyana. K. P.

Do Braci hasło.

Ludku Polski, ludku laszy,
Nie zaniedbuj „Pracy“ naszej;
Czytaj pilnie i rozważnie,
Bo ona pisze poważnie.
Hejże! Bracia z Galicyi,
Ile będzie w mocy czyjej
To tę „Pracę“ wzdy czytajcie
I drugich też zachęcajcie —
Bo ona nas z Braćmi łączy,
Z niej się miłość bratnia sączy —
Więc czy w Prusach, czy w Rosyi,
Czy na Węgrzech, w Galicyi,
Czy za morzem w Ameryce,
Czytajcie ją, Wy Siostrzyce,
Czytajcie ją młodzi, starzy,
Ona do nas dobrze gwarzy,
Ona wie, jak kochać Braci,
Więc się nam miłością płaci —
Bo ją wzbudza i rozsiewa —
Sama zawsze szczerą bywa,
Pragnie od nas zrozumienia
Dla Ojczyzny odrodzenia.

Franciszek M. Bartnik,
w Zagórzu, Galicya.

Wiadomości.

Jeszcze do następnego tygodnia odłożyć musieliśmy z powodu trudności technicznych numer poświęcony Zlotowi Sokołów w Poznaniu.

Uzupełniając notatkę zamieszczoną w ostatnim numerze „Pracy“ o odbytej w Redakcyi naszej rewizyi, nadmieniamy, że poszukiwano manuskryptu artykułu zamieszczonego w numerze 32-im z rb. p. t. „Polityka pięści.“ Naturalnie rewizya była bezskuteczna, gdyż manuskrypt ów uległ, jak zwykle, natychmiastowemu zniszczeniu po wydrukowaniu go w „Pracy“.

W artykule wzmiankowanym prokuratorya dopatrzyła się karygodnego występku i wytoczyła nam śledztwo. Więc znów czeka nas nowy proces!

Do dzisiajszego numeru dołączamy karty pocztowe z portretem Najprzewielebniejszego Księdza Arcybiskupa Stablewskiego, z uprzejmą prośbą, aby je Szanowni Czytelnicy zużyć zechcieli w celu zjednania nam nowych abonentów.

Ustawiczne śledztwa i procesy wyrządzają nam prócz wielkich cierpień fizycznych i moralnych za kratami więzienia także wielkie szkody materyalne, wobec czego Czytelników, Przyjaciół i Zwolenników naszych prosimy, aby zechcieli zjednywać nam liczne nowe zastępy przedpłacicieli tak na „Pracę“ jak też na „Czytelnię Polską“.

Tylko w ten sposób możemy dać godną i należytą odprawę „naszym najserdeczniejszym“, którzyby nas chcieli zmieść z oblicza ziemi.

Do skompletowania kwartalników „Pracy“ potrzebne są nam numery 27 i 32 z roku bieżącego, o których nadesłanie upraszamy niniejszem naszych Czytelników, za co im się wywdzięczymy w inny sposób.

Na polskie elementarze dla biednych dzieci złożyła w dalszym ciągu pani A. Łucka w Jaremczach (Galicya) 1 koronę 20 halerzy czyli po zamianie 1 markę 2 fenygi.

Dalsze datki na cel ten przyjmujemy jak najchętniej.

Zwracamy Szanownej Publiczności baczną uwagę na ogłoszenie stale zamieszczane w „Pracy“ p. J. Wolniewicza w Kostrzynie, posiadającego renomowaną i zaszczytnie znaną pracownię pokrywania dachów i wież kościołów łupkiem, dachówką, gontami itp. Chlubne świadectwa wykonanych pokryć, wystawione p. W. tak przez dozory kościołów jak też przez zarządy majątków ziemskich, są najlepszą dla pana Wolniewicza rekomendacyą.

Dr. Niegolewski, okulista, powrócił z podróży do Poznania.

Elementarz polski poznański t. zw. z Aniołkiem powinien się dzisiaj znajdować w każdym polskim domu. Skład główny w księgarni A. Cybulskiego w Poznaniu, św Marcin i narożnik Piekar (patrz ogłoszenie).

Magazyn garderoby męzkiej przeniósł p. D. Szynkowski z ulicy Rycerskiej nr. 34 na ulicę Rycerską nr. 38 (do domu, w którym się mieści redakcya, administracya i drukarnia „Pracy“) do lokalu nowego, urządzonego z wielkim komfortem. Pan S. zaopatrzył swój skład bogato w najnowsze materye jesienno-zimowe i wszelkie zamówienia wykonuje tylko według najnowszych żurnali paryskich i wiedeńskich. Na odnośny inserat zwracamy baczną uwagę Szanownym Czytelnikom miasta i prowincyi.

Bank parcelacyjny w Poznaniu, na Piekarach nr. 18-ty, zamieszcza ważny inserat, dotyczący hipotek. Niech go sobie reflektanci przeczytają z uwagą!

Piękne reprodukcye znakomitych arcydzieł Grottgera, wydane nakładem J. W. Niemojowskiego we Lwowie, mieliśmy sposobność oglądać w składzie firmy „Antoni Rose“ w Bazarze. Są to karty korespondencyjne, zawierające na odwrotnej stronie odtworzone sposobem litograficznym rysunki genialnego polskiego rysownika jak to: „Na Chórze“. „W katordze“, „Pod figurą“, „Po walce“, „Przygody wojenne“, „Na Sybir“, „Starzec“, „W Syberyi“. itd.

Całą seryą wraz z reprodukcyami „Powrotu po napadzie Tatarów“ Leopolda Löfflera i „Sejmu rozbiorowego“ J. Matejki nabyć można u firmy „Antoni Rose“ za 1,50 M., pojedyńcze zaś karty po 10 fen. Firma ta ma wyłączne zastępstwo na naszą dzielnicę. Przypominamy też reprodukcye scen z Sienkiewiczowskiego „Ogniem i mieczem“ świetnie przez tę firmę wykonane, których serya cała kosztuje 1 mk.

-- **Srebrne wesele.** Państwo Antoniostwo Gremczyńscy z Nakła obchodzili w dniu 17 zm. w gronie bliższej i dalszej rodziny w domu córki swej, zamężnej za aptekarzem p. Władysławem Kużajem w Gniewkowie, rocznicę ćwierćwiekowego swego pożycia małżeńskiego. Podziękowawszy podczas mszy św. Najwyższemu za doznane łaski, przyjmowali jubilaci życzenia. Dowodem miłości i wysokiego poważania, jakiem się państwo Gremczyńscy w społeczeństwie naszem cieszą, były liczne telegramy i listy, które z okazyi swego srebrnego wesela odebrali. Treścią zaś wszystkich tych objawów pamięci było życzenie, aby szanowni jubilaci doczekali się przy czerstwem zdrowiu i w pomyślności, patrząc na szczęście swych dzieci i wnuków — złotego wesela!

— **Śluby.** Dnia 8 sierpnia rb. został zawarty związek małżeński między panną Jadwigą Biszewską a panem dr. Zygmuntem Koczorowskim, lekarzem praktycznym z Grodziska. Akt ślubny odbył się w domu panny młodej w Sieliczach w gubernii Mochylewskiej.

Dnia 21go zm. został kościele św. Marcina w Poznaniu zawarty związek małżeński między panną Maryą Zydorowiczówną a panem Antonim Perlińskim, znanym lekarzem dentystą z Poznania. Aktu ślubnego dopełnił wuj panny młodej, ks. prob. Baranecki, przemówił zaś do nowożeńców w pięknych słowach ks. prałat dr Lewicki.

Dnia 21 sierpnia rb. zawarte zostały w kościele słupskim związki małżeńskie między panem Stanisławem Rosą z Gniewkowa a panną Bronisławą Niedbalską z Wąsocza, oraz między panem Władysławem Niedbalskim z Wąsocza a panną Kazimirą Joachimowską z Góry. Aktu kościelnego dokonał ks Dziekan Sobeski z Słupów, który w pięknych słowach przemówił do nowożeńców.

Młodym parom: „Szczęść Boże!“

Środa. Szanowną Redakcyą „Pracy“ proszę o sprostowanie wiadomości, podanej w No. 34 o ś. p. Franciszku Steinmetzu.

S. p. Fr. Steinmetz **nigdy** nie pracował fresko i **nigdy** pod kierownictwem B. Łaszczyńskiego — on podawał tylko myśl ks. Arcypasterzowi co ma być zrobione — sam zaś wykonywał wiele obrazów dla ks. Arcypasterza Stablewskiego, rozmaite illustracye do „Przewodnika Katolickiego“ i t. d.

Wykonał także wiele pięknych obrazów w kościołach na prowincyi.

S. p. Franciszek Steinmetz ukończył szkołę Matejki w Krakowie — później kształcił się w Monachium. Był to mąż, który walczył z niezwykłemi trudnościami, umiał sobie jednakowoż wyrobić poważanie u' wyższej inteligencyi, zostawiając po sobie miłe wspomnienie. I gdyby nie śmierć przedwczesna byłby nie jedną piękną pracę wykonał.

Zmarły był (jak „Praca“ pisze) dobrym Polakiem i patryotą, kochał nad wszystko polskę ziemię — niechaj mu będzie za to lekką. Czytelnik „Pracy“.

Pieniaki — Łuk (Galicya). W 34 numerze „Pracy“ w ustępie: „Z prowincyi“ poszukuje jakiś pan księgarz takiej miejscowości, gdzieby mógł z pożytkiem założyć własną księgarnię. Jeżeliby tedy chodziło o miejscowość w Galicyi, tobym radził całkiem sumiennie miasto Złoczów. Wszystkie bowiem miasta prowincyonalne w Galicyi mają księgarnie polskie; jeden tylko Złoczów ma jednę księgarnię żydowską, to znaczy przez żydów Zukerkandel utrzymywaną. Otóż tedy wobec już przecierania ócz i budzenia się z więzów talmudycznych, w jakich my upośledzeni Polaczkowie skrępowani leżeli — ale bo któż nas nie oszukał, nie okradł, nie kupił i nie sprzedał? toby konkurencya polska mogła zabić talmudyczną; zwłaszcza gdyby się drukarnie utrzymywało na tanie wydawnictwa i sprzedaż papieru i przyborów szkolnych. Jest tu bowiem gimnazyum, które samo jedno mogłoby księgarnię utrzymać.

Zatem do dzieła: *tentare licet.*

Życzę powodzenia: *Literat W. S.*

Zmarli.

Znowu śmierć nielitościwa wydarła nam jednego z kapłanów naszych. W ubiegłą niedzielę umarł po dłuższej chorobie w Komornikach

ś. p. ks. Stanisław Terczewski,

proboszcz tamtejszy. Zmarły urodził się w Buku 1835 r., skończywszy gimnazyum św. Maryi Magdaleny i seminaryum duchowne został wyświęcony 1861 r. na kapłana. W r. 1886 przeniesiony przez Władzę duchowną do Komornik, pracował tamże z wrodzoną gorliwością aż do ostatniej choroby, która przed sześciu tygodniami powaliła go na łoże śmiertelne. Zmarły był gorącym patryotą, a cicha praca jego pasterska obfite wydawała owoce. R. i. p.

Od Redakcyi.

Panu J. Sob w. Jeżycach. Są różne wydania tych książek, tańsze i droższe, najlepiej idź Pan do księgarni i kup Pan wydanie przystępne dla Pana.

Panu Kaź. Św. w. Bad-Boden. Adres „An den Magistrat in Gnesen, Prov. Posen“. Na porto dołącz Pan znaczek dwudziestofenigowy.

Panu Dzwonkowskiemu. Za nadesłany wycinek dziękujemy. Bezczelność, z jaką prasa niemiecka pisze o ks. Arcybiskupie z powodu jego ujęcia się za prawami języka ojczystego w szkole, jest tak wielką, iż dorównywuje prawie bezwzględności rządu.

Pani C. M. w Poznaniu. W tej sprawie poinformuje Panią najlepiej ten kupiec, do którego Pani odda chłopca w naukę.

Członkom Towarzystwa Dobroczynności w Załężu. Za nadesłane nam serdeczne pozdrowienie najserdeczniej dziękujemy. „Czołem!“

Z. B. w Poznaniu. Nie nadaje się do „Pracy“.

Panu Antoniemu Godniakowi w Szpandawie. W tej sprawie nie możemy Panu o owym kupcu żadnej udzielić informacyi. Jeżeli Panu na tem koniecznie zależy, to udaj się pan wprost do Redakcyi „Postępu“.

Panu Michałowi Kabajowi w Brzostku (Galicya). Taki mały wydatek kwartalnie zrobić może każdy, nawet najuboższy Polak. Prywatnych funduszów na cel ten nie posiadamy.

Panu Juliuszowi Kopieciowi w Miejscu (Górny Śląsk). W Księgarni polskiej Templowicza w Poznaniu, hotel Francuzki.

Imci Ks. Proboszczowi Gr. w S. Racja — w przyszłości zastosujemy się do Jego słusznej uwagi.

Panu Walend. w G. per Kłecko. W wiadomym Pańskim interesie, dotyczącym założenia handlu stroi, udaj się Pan po informacye do pani Heleny Olszewskiej w Gostyniu i do pana Mierzejewskiego w Czerniejewie (Szwarzenau).

Panu Michałowi S. w Königsaue.. Nie możemy dać informacyi; udaj się Pan do Redakcyi „Lecha“ w Gnieźnie.

Panu Mieczysławowi L. w Strzelnie. Najserdeczniej dziękujemy; umieścimy w następnym numerze i prosimy o więcej na ten temat.

Humorystyka.

Myśl.

Pieniądz jest najbezwstydniejszem stworzeniem na świecie, wcale się bowiem nie rumieni, gdy go używają do poniżających posług.

Interesent na poczcie:
— Panie Ekspedytorze, ja tu jestem już od godziny.
— Urzędnik. A ja tu jestem już od lat 15-tu i nie narzekam.

Za wszelkie reklamy i ogłoszenia odpowiedzialnym jest administrator „Pracy“ Wincenty Szmytkowski.

Nadesłane.

Rocznie około **milion litrów** wódek zdrowotnych, deserowych itp. wysyła już obecnie sławna fabryka 437

B. Kasprowicza
w Gnieźnie,

a obrót z każdym dniem się wzmaga! Setki tysięcy znawców, smakoszów i lubowników, uznaje też

wódki Kasprowicza za najlepsze.

Pomimo, że fabryka posiada ogromną ilość jedynie najpierwszych nagród, zdobytych na sławnych wystawach w Niemczech i po za granicą, konkurując swego czasu z największemi firmami europejskiemi i światowemi, nie potrzebuje już więcej podobnemi odznaczeniami imponować.

Mianowicie w ostatnich latach wystawia swe wyroby **„bez ubiegania się o nagrodę“** jedynie dla dania sposobności poznania takowych, odnośnym szerszym kołom.

Za darmo dostanie każdy książkę ze 100 obrazkami, kto sobie kupi w mej księgarni **Kalendarz Katolika** (50 fen.) lub **Maryański** (60 fen.) **na rok 1901.** Z dalszych miejscowości 20 fen. więcej na porto.
A. Glazowski Rozbark (p. Beuthen O. S.).

Słynna fabryka pługów parowych pod firmą **„John Fowler & Co.“** w Magdeburgu otrzymała na wystawie paryskiej wielką nagrodę w grupie 7, klasie 35 za kulturne aparaty parowe.

FABRYKA
papierosów i tureckich tytuni
„VULKAN“
I. F. J. Komendziński w Dreznie
zwraca Szanownym Amatorom łaskawą uwagę na swoje papierosy i tureckie tytunie, które w wszystkich główniejszych odnośnych handlach są do nabycia. Podróżujących z zasady nie wysyła, oblicza natomiast przystępniejsze ceny i odstawia lepszy towar. 45

Ktoby sobie życzył w Opalenicy
się osiedlić i korzystne kupno nabyć jako to parcelę pod budowę, dalej zabudowania gotowe nowo bu lowane, dalej dobrze prosperujący w najlepszej części miasta położony dom z dwoma handlami od dawna istniejącemi, niechaj się zgłosi do przedsiębiorcy budowli **Stanisława Szymańskiego** tamże. 499

(Uwaga). Nie żadna agencya — faktorstwa się **nie** płaci.



Nowy kurs
rozpoczyna się w zakładzie pracy domowej dla dziewcząt w Śremie. Uczy się tam wszelkich prac wchodzących w zakres gospodarstwa domowego, także kroju i szycia sukien i bielizny, rachunków, buchalteryi, kaligrafii i ortografii, ogrodnictwa i t. d.

Zachęcamy rodziców polskich, aby córki swoje do tego pożytecznego zakładu oddawali. Bliższe warunki i objaśnienia przesyła

F. Szczerbińska,
przełożona zakładu w Śremie
(Schrimm Prov. Posen).

W powiatowem mieście jest pod korzystnemi warunkami z powodu stosunków familijnych zaraz lub później na sprzedaż 486

dom

z tylnem zabudowaniem i ogrodem.
Łaskawe oferty raczą nadesłać pod lit. M. H. 276 poste restante
Gostyń.

Poszukuję do mego składu korzennego i destylacyi
pomocnika i ucznia 474
od zaraz lub 1-go paźdz. r. b.
A. Gremczyński.
Nakło, Nakel (Netze).

Dwóch zdolnych 468
pom. introligatorskich
na stałe zatrudnienie, jako i **dwóch uczni** przyjmie od zaraz lub później
K. Kmiecikowski,
Introligatornia Poznańska i fabryka zeszytów,
Poznań, ul. Wodna nr. 2, I.

Subjekta
młodego na pierwsze miejsce obeznanego **dokładnie** ze składem żelaza i artykułami budowlanemi (znajomość korespondencyi w obu językach i buchalteryi jest pożądaną) poszukuje od 1 Paźdz. r. b. **Fr. Kaczorowski** we Wrześni. Zgłoszenia piśmienne z podaniem świadectw. 473

Do mego handlu win, towarów korzennych, łakoci, cygar, nasion i nawozów sztucznych poszukuję
ucznia.
Czas nauki bezpłatnie 3 lata.
Felix Orlicki, Pyskowice G/S.
(Peiskretscham O/S.) 449

4 zdolnych czeladników stolarskich na budowlaną robotę potrzebuję od zaraz jako i każdego czasu. **Borecki,** magazyn mebli i trumien z drzewa i metalu, we Wrześni. 448

2-go 483
ucznia
syna cnotliwych rodziców, z odpowiedniem wykształceniem szkolnem oraz z dobrem wychowaniem przyjmie
S. Kaja w Żninie.
Drogerya i handel kolonialny.

Wszelkie druki
wykonuje gustownie i po umiarkowanych cenach
Drukarnia „Pracy“
w Poznaniu, Rycerska ul. 38.

3 uczni 488
synów porządnych rodziców, którzyby chcieli wyuczyć się krawiectwa pod nader korzystnemi warunkami przyjmie zaraz **Wiesiorek,** mistrz krawiecki, Katowice, Ul. Frydrykowska. (Kattowitz O/Schl.)

Znajdą miejsca na paźdz. **Drogierzysta** do miasta Łodzi w Królestwie. — **Werkmistrz** stolarski do fabryki w Warszawie. — **Pomocnik** elegancki do handlu **towarów kolonialnych delikatesów i win** na prowincyą. Do zgłoszeń proszę dołączyć referencye, warunki, życiorys i na odpowiedź znaczek pocztowy.
B. Koczorowski,
Strzelecka ul. 3b. 487

Panienka
z dobrego domu, również z dobrem wychowaniem, pragnie przyjąć miejsce
kasyerki
od 1. 9. 00 lub później. Of. A. B. poste restante Krobia. 500

Poszukuje się skromny **pokój meblowany** o ile możności okna na ulicę w górnej części miasta ze stołem. Łask. of. pod PP. 482 do Eksp. „Pracy“. 482

Ucznia
przyjmie do handlu towarów korzennych, farb i destylacyi od 1-go października r. b.
St. Kazowski
w Strzelnie.

Zdatnego introligatora
obeznanego z przykrawaniem torebek poszukuje zaraz 492
Antoni Rose
Poznań — Bazar.

Ucznia
chłopca poczciwych rodziców przyjmie zaraz 497
A. Zbychorski
fryzyer i dentysta w Mogilnie.

Starsza osoba 476
dla wsparcia pani domu
może się zaraz zgłosić na wieś.
Frost — Barłożno
p. Kleinburg.

Ucznia
przyjmie od 1 października rb.
Bogdan Kiełmiński,
introligator w Nakle,
(Nakel-Netze). 462

Zarys dziejów Polski porozbiorowej

z dodaniem najważniejszych wiadomości z literatury i geografii polskiej, wydanie drugie znacznie pomnożone, 52 **obrazami sławnych Polaków, wodzów i bitew oraz 4 mapkami ozdobione**, poleca 197

Księgarnia Polska (W. Tempłowicz)

Poznań, Hotel francuzki.

Cena m. 1,80, z przesyłką 2 m. Za nadesłaniem należytości posyłka odwr. pocztą.

Zakład wodoleczniczy i kąpielowy

w ogrodzie Lamberta ul. Rycerska 15.

Wszelkie procedury wodolecznicze.

Kąpiele ruskie i rzymskie. 395

Kąpiele elektryczne.

Kąpiele z kwasem węglowym i wszelkiemi dodatkami leczniczemi.

Szanownym Odbiorcom moim miasta i okolicy **Nakła** donoszę uprzejmie, iż z dniem 1 Września przeniosłem mój 495

skład garderoby mężkiej

do domu pana *Kopicza w rynku.*

Prosząc o łaskawe dalsze poparcie przedsiębiorstwa mojego, polecam wielki wybór w materyach krajowych i zagranicznych, również bielizny i towarów galanteryjnych po cenach przystępnych lecz stałych. Z uszanowaniem

Wincenty Mroczek.

Własny nakład.



Nowości dla Pań z cennika na rok 1900.



Nr. 32. Kreole 8 kar. złote z orz. para 14 i 17 m. Srebrne złoc. 7 m. bez orz. złote 8 i 12 marek.

złote 8 karat. (333) para tylko 8m. wężyki 6 i 8 mr., dla dzieci mniejsze 5 m. Wszelkie inne nowości własnego nakładu bardzo tanio.

Każdy Czytelnik „Pracy“ niech zażąda naszego nowego cennika, chcąc prawdziwie tanio i rzetelne kupić.

Codziennie nadchodzą listy dziękczynne.

M. Szczepaniak i Spł. w Krotoszynie.

Olbrzymi zakład zegarmistrzowski i złotniczy i fachowy dom wysyłkowy.

St. Brzeski,

Poznań, św. Marcin Nr. 64.

Telefon Nr. 1101.

Warsztat elektro-mechaniczny.

Biuro instalacyjne

telefonów, światła i dzwonków elektrycznych, gromochronów i t. p.

Hande i fachowy warsztat welocypedów.

Gen. zastępstwo kołowców i automobili

„Falke.“ 470

Spółka Stolarska

w Swarzędzu

poleca swój 411

wielki

magazyn mebli

z dobrego materyału i własnego wyrobu.

Ceny przystępne.
Usługa skora.

Najtańsze źródło zakupna dla sprzedających z drugiej ręki.

CYGARO

w cenie hurtowej 15—25%, taniej jak detalicznie, polecam jako bardzo ulubione, wybornego smaku następujące gatunki:

Intelecto	za 100	sztuk	2,50 m.
Alma	„ 100	„	2,75 „
La Plata	„ 100	„	3,00 „
Fides	„ 100	„	3,30 „
Quodlibet	„ 100	„	3,50 „
Carino	„ 100	„	4,00 „
Birma	„ 100	„	4,50 „
Berolina	„ 100	„	5,00 „
Lopez	„ 100	„	6,00 „
Carmen	„ 100	„	7,00 „
La Rosedor	100	„	8,00 „
La Espanola	100	„	10,00 „

Oprócz powyższych polecam mój wielki zapas dobrze odleżałych cygar, zwłaszcza tańszych dla sprzedających z drugiej ręki. Przy odbiorze 300 sztuk wysyłam franco. Papierosy, tytunie tureckie i rosyjskie oraz gilzy w wielkim wyborze poleca 75

T. Łaganowski, Poznań, Chwaliszewo nr. 2.

Powróciłem.

Dr. Chrzanowski

specyalista 460
w chorobach kobiecych i położnictwie,

Poznań, św. Marcin 55.

Przyjmuje:
od 10—12 i od 3½—5.

Zielona Apteka

Edmunda Dzierzgowskiego

Poznań, ul. Wrocławska 31.

urządzona podług najnowszych wymagań, poleca **wszelkie środki zagraniczne i krajowe** oraz **artykuły chirurgiczne i gumowe** po cenach konkurencyjnych. Wysyłki franko odwrotnie; w miejscu w dom. 874

Fabryka wody selterskiej i limonad musujących.

1½ minuty od placu Piotra.

Wąs okazały!



Kto jeszcze nie posiada tej najpiękniejszej ozdoby każdego mężczyzny, ten niech użyje mego słynnego na świat cały balsamu do wąsów „**Kommelin.**“ **Skutek pod gwarancyą w kilku tygodniach** Cena za puszkę Nr. I. 2 m., Nr. II. 3 m., Nr. III. 5 m. Porto 20 fen., zaliczka 20 fen. więcej. **Żadne oszustwo**, jak dowodzi następujące pismo uznania: Pewien pan E. Laurenz, kantyna strzelców w Ortelsb. pisze pod dniem 9-go lipca 1900. Ponieważ Pański „**Kommelin**“ już u mnie okazał się skutecznym, zatem proszę **o jeszcze jedną puszkę Nr. II.** Do każdej przesyłki dołącz. się przepis użycia. Tylko prawdziwy do nabycia u **Roberta Husberg, Neuenrade** Nr. 30, Westfalia. W razie skutku niepomyślnego zwraca się należytość. 458

Tylko kapsułki Sanidowe

(10 gr. San., 3 Sal. 3 Cub., 1 Terpinol) skutkują natychmiast i bez rycydywy przy upławach, katarze pęcherza i t. d. (Żadne wstrzykiwanie.) Cena **3 mk.** za flaszkę. 1057

Skład główny: **L. Hofmann**, apteka, Schkenditz — Lipsk. W Poznaniu: **Czerwona Apteka, Rynek 37.**

Tylko raz w życiu

nadarzy się sposobność otrzymania następujących drogocennych przedmiotów tylko za 4,50 mk. Piękny zegarek pozłacany, 3 lennia gwarancya, piękny krawat, trwała sakiewka skórzana, pięk. oprawiony notes. 6 dobrych chustek kieszonk., garnitur guzików do koszul i mankiet, złote double piękny łańcuszek do zegarka, piękny scyzoryk z przynależ., para wspaniałych srebrnych butonów, 100 sztuk różnych drobiazgów dla gospodyń. Wszystko to z zegarkiem, który sam już wart jest te pieniądze kosztuje razem tylko 4,50 mk. przez zaliczkę poczt. z składu fabryki **Jos. Kessler**, Wien, IX. Porcelangasse 18, P. Za przedmioty niepodob. się pien. z powrotem. 494

Tapety

w najnowszych pięknych deseniach poleca od najpojedyńcz do najwykwintniejszych tapet salonowych 190

Elbląskí interes wysyłkowy tapet C. Quintern, Elbląg (Elbing).

„Każdy chory“

odzyska całkowicie swoje utracone zdrowie, za dokładnym opisem swej choroby. — Listy uprasza się w wszelkiem zaufaniu nadesłać pod lit. **T. D. 409.** do eksped. „Pracy“. Ręcząc ścisłą dyskrecyą. 409.

Wróciłem

Dr. F. Niegolewski, 481
okulista
plac Wilhelmowski 3.

Hyacynty

w dziesięciu kolorach

(prawdziwe haarlemskie) mianowicie 2 białe, 2 czerwone, 2 niebieskie, 2 żółte, 1 różowy, 1 purpurowy po 1,50 mk. do doniczek po 2 mk. do naczyń szklanych. Szczególniej polecam moje słynne **hyacynty z nazwiskami** i to 10 sztuk w dziesięciu przepysznych gatunkach do doniczek po 3 mk., do naczyń szklanych po 4 mk. **Hyacynty z nazwiskami są najlepsze!** Broszurkę moją, ozdobną w piękną kolorową rycinę, przedstawiającą hyacynty, dołączam gratis do zamówień, bez zamówienia za nadesłaniem **30 fen.** 420

Friedr. Huck w Erfurcie
(Erfurt 27 e).

Adres telegr.: **Hyazinthenhuck.**

18% Superfosfat
à 3,75 za centnar. 485

18% Tomasówke
à 2,90 za centnar.

Kajnit à 1,60 za centnar w miechach poleca

K. Stark — Żnin.

Dobrze prosperujący

Magazyn

kapeluszy damskich

w Katowicach

położony na jednej z najlepszych ulic jest pod korzystnemi warunkami zaraz do nabycia. Dla kupca Polaka lub Polki z kapitałem 3—4 tyś. mk. **nadarza się rzadka sposobność** do dobrej i pewnej egzystencyi. Zgłoszenia przyjmuje

W. Czaplicki,
Kattowitz O/S. 472

Skład

duży z wielkiem oknem wystawnem w większym mieście w bliskości rynku w ożywionej ulicy jest zaraz do wynajęcia. Zgł. przyj. Eksp. „Pracy“ pod lit. G. nr. 454.

Inowrocław.

W najlepszem położeniu w Rynku mam nowo przebudowany 477

skład

do wydzierżawienia.

Wąsowicz, aptekarz.

HOTEL

incls. mebli z wyszynkiem z obszernemi stajniami, z wielkim ogrodem i kręgielnią jest od zaraz do nabycia. 484

Bliższych inform. udzieli

J. Dandelski — Kobylin.

Folwark 400-morgowy

resztkę z parcelacyi, której już dalej dzielić nie można, **pomieniamy** na większe **gospodarstwo we wsi, gdzie parcelacya możliwa.** Folwark nasz ma 300 mórg dobrej roli i 100 mórg pięknych łąk, z podwórzem w samym środku gruntu, inwentarze tak żywe jak i martwe znakomite. Jest też tam 8-morgowe rybne jeziórko i polowanie świetne. 469

Cena 90,000 marek, a reflektant, chcący się pomieniać, powinien mieć majątku w swojem gospodarstwie 20—40 tysięcy marek.

Bank Parcelacyjny

w Poznaniu, Piekary 18.

Oldenburg. wesermarskie buhaje

rozpłodowe,

wysokocielne krowy i jałowice

franko do każdej stacyi dostarcza 989

Oldenburger Wesermarsch-Vieh-Absatz-Genossenschaft

e. G. m. u. H. Ellwürden, Grhgth. Oldenburg.

Pan **A. G. Lange w Ostrowie,** posiedziciel mleczarni, przyjmuje zamówienia.

Każdego czasu poleca

Wybór

tylko sumiennie rekomendowanych

Urzędników gosp.

wszelkich stopni,

Gorzelanych,

Podgorzelników,

Leśnych,

Borowych i t. d.

bez wszelkich kosztów

DRWĘSKI & LANGNER

Centralne Bióro Zleceń

w Poznaniu, ul, Rycerska 38.

Założ. w r. 1876. **Telefon Nr. 1246.**

Firma sądownie zapisana.

Chcąc się w przyszłości poświęcić wyłącznie instalacyi elektrycznej, **wyprzedaję** od 1-go lipca wszelkie **towary** wchodzące w zakres **optyki, mechaniki i kołownictwa** po każdej możliwej cenie. W danym razie gotów jestem **sprzedać od razu** rzeczone wydziały przedsiębiorstwa mego dające **utrzymanie dostateczne dla rodziny.**

F. BISKUPSKI, Poznań, Berlińska ul. 11.

Firma fundowana 1880 roku.



Podciągi (tragarze)

filary, okna

i wszelkie inne artykuły do budowli

poleca 72

w wielkim wyborze

i po przystępnych cenach

T. Krzyżanowski,

Poznań,

Szewska ul. 17.

Kołdry

(Steppdecken)

w bardzo wielkim wyborze rozmaitego gatunku, koloru i w pięknych deseniach nabyć można tylko ***w pierwszej wiedeńskiej fabryce kołder***

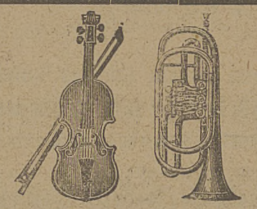
R. Bild'a

a nie w żadnym innym składzie. Przerabiam kołdry najdokładniej, mając w tym celu na składzie wielki wybór materyi. 43

R. Bild'a

pierwsza wiedeńska fabryka kołder, **Wrocław, Breslau, Schmiedebrücke Nr. 55.**

Wchód: Kupferschmiedestr. I drzwi, I piętro.



Edmund Paulus

Markneukirchen Nr. 206.

Rzetelne źródło zakupna wszystkich instrumentów dętych i smyczkowych harmonik ustnych i ręcznych tylko w dobrem wykonaniu i po cenach najtańszych pod gwarancyą.

Cenniki franko. 338

Smyrneńskie

wyroby ręczne

i 1025

dywany smyrneńskie

cenniki darmo i franko.

Fabryka wełny

Wilh. Lau, Arnswalde.

W zamian daję przędzę smyrneńską za wełnę owczą.

Najlepsze mydło

jest z fabryki

St. Żychlińskiego

w Gnieźnie.

Złoty medal
Gniezno 1896,
Kraków 1900.

W składach kolonialnych itp. prawdziwe jeśli na każdym kawałku **wytłoczona firma.** Przetłuszczone mydełko lanolinowe z herbem Gniezna (po 25 fen.) upiększa płeć, usuwa piegi itd.

Do nabycia w lepszych składach np. w Poznanin u p. R. Barcikowskiego, w Inowrocławiu u p. K. Nowakowskiego.

Dla Narzeczonych!!

Bardzo wiele pieniędzy zaoszczędza każdy, kto — kupując ślubne pierścionki, zegarek, lub biżuteryą żąda mego katalogu. 297

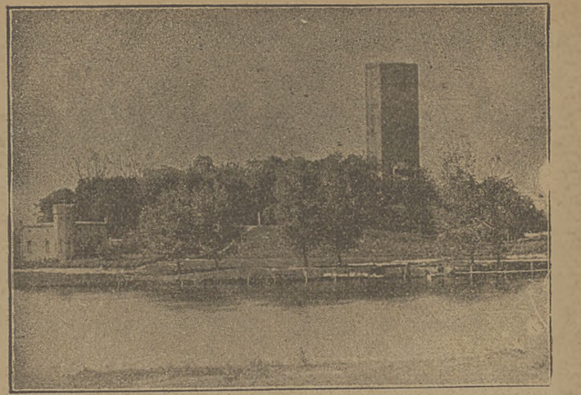
J. Strzelecki, Mogilno, (filia w Inowrocławiu).

Gimnazyastów

przyjmuje na stancyą

H. Siemiątkowska

Długa ul. nr. 11. parter.



Restauracya pod Mysząwieżą.

Szanownym Towarzystwom, Panom kołownikom, Kółkom familijnym itd. polecam mój przy jeziorze Gople położony

piękny ogród z kręgielnią i salą do tańca.

Lubownikom sportu polecam moje **łodzie do przejażdżek po jeziorze.** 399

Przyrzekam skorą i rzetelną usługę.

Uniżony

M. Degórski, Kruświca.

Telefon nr. 32.

Patenty na wynalazki

wyjednywa i sprzedaje we wszystkich krajach

inżynier K. Ossowski,

Międzynarodowe Biuro Patentowe,

w Berlinie W., Potsdamerstrasse 3.

B. Sadowski,

jedyny polski fachowy zegarmistrz

w Krotoszynie (Krotoschin).



poleca prawdziwie dobre zegarki, zegary i t. d. Zegarki mężkie, srebrne, rem. lub klucz. po 7,50, 9, 11, 13, 15, 18 do 30 mk. Zegarki srebrne z wizerunkiem Matki Bozkiej rem. lub klucz. po 10, 12, 14, 17, 21 i 23 mk. Zegarki damskie złote po 15, 18, 21, 25 do 100 mk. Regulatory, zegary stołowe i ścienne, budziki, tylko w najlepszych gatunkach Obrączki ślubne, pierścionki, broszki, kolczyki, krzyżyki etc. w wielkim wyborze. Ceny tanie! Gwarancya długoletn. Wymiana towarów dozwolona. Cennik wysełam darmo i franko. Ażeby uniknąć pomyłki, proszę bacznie zważać na firmę, ponieważ istnieje tu jeszcze jeden skład zegarów z podobnym nazwiskiem, prowadzony przez niefachowca 463

Za poprz. nadesłaniem 1 Mr. wysyłka franco.

Nowość! **Nowość!**

15 rozmaitych

kart korespondencyjnych

z widokami zdjętemi z obrazów Jana Matejki w pięknej teczce, która może być ozdobą każdego salonu, poleca

za tylko 1 markę.

Skład papieru
i materyałów piśmiennych

„Atlas“

W. Kostrzewski,

Poznań, Stary Rynek nr. 48.

Za poprz. nadesłaniem 1 Mr wysyłka franco.